NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

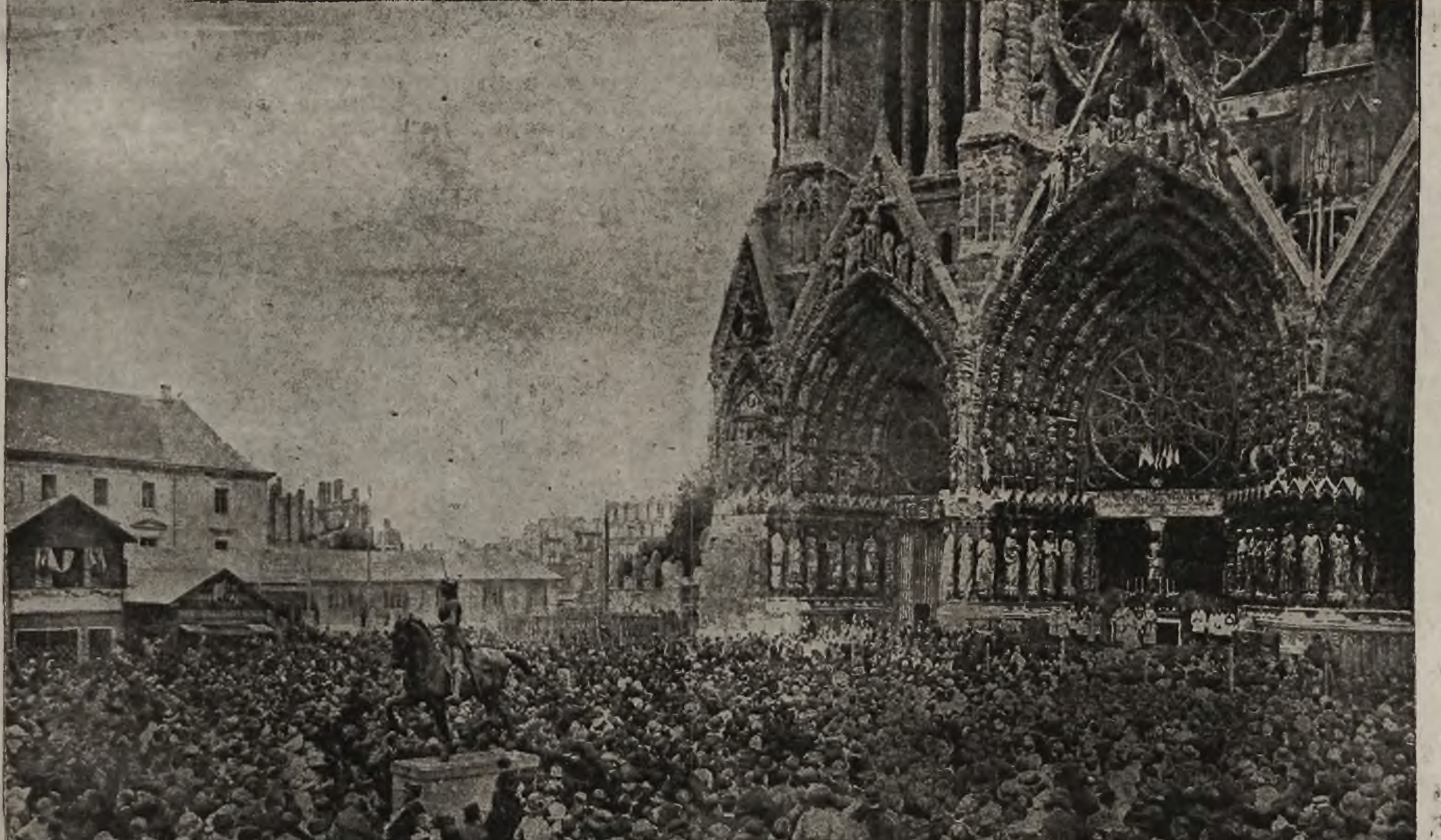
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 6 sierpnia 1921. Nr. 32.

Święto pokoju w Reims



Msza św. przed kościołem katedralnym w dniu 17 lipca br. z okazyi ponownego ustawienia statuy Dziewicy Orleańskiej.

Święto pokoju w Reims.

(Do illustracyi tytułowej).

Dzień 17. lipca b. r. był dla miasta Reims i jego mieszkańców, a zarazem i dla każdego Francuza prawdziwem świętem pokoju. Obchodzono wówczas uroczyście powrót do miasta słynnej statuy Dziewicy Orleańskiej, dłuta Pawła Dubois, wywiezionej stamtąd do Paryża w początkach wojny z obawy przed uszkodzeniem jej przez nowoczesnych Hunnów, którzy wypowiedzieli walkę na śmierć i życie nie tylko narodowi francuskiemu, ale i dziełom jego kultury i sztuki.

rem stanęła stopa najeźdźcy, trawa dotąd nie porosła, z bezmyślną zaciekłością niszczono wszystko. Nie złamało to jednak ducha Francuzów, oparli się mężnie naporowi germańskiej dziczy, która dowiodła, że z kulturą nie ma nic wspólnego.

Podczas bombardowania ucierpiało wiele i starożytne Reims, a ślady zniszczenia od pocisków niemieckich widoczne są na ścianach jego domów, nie oszczędzono również tamtejszej katedry, tego prawdziwego cacka średniowiecznej architektury. Te ruiny i zgliszcza, sterczące groźnie dziś jeszcze, to wspomnienie tych strasznych chwil, jakie przeżyli mieszkańcy miasta i okolicy.



Odznaczenie obrońców Zamarstynowa: Msza polowa.

I jak wówczas, gdy posąg bohaterki narodowej zdejmowano z cokołu, aby ją wywieźć w bezpieczne miejsce, w niejednem oku zabłysła łza, — tak też i w dniu 17. lipca b. r. na twarzach tłumów, biorących udział w jej powitaniu, widoczne było rozrzewnienie, ale wywołane nie żalem i niepewnością, lecz radością i tryumfem, że odwieczny wróg został pokonany, choć tak pewny był zwycięstwa.

Droga, którą przez Belgię i północną Francyę ciągnęły zastępy niemieckie w stronę Paryża, pokryła się gruzami i zgliszczami, na miejscu, na któ-

Po powrocie normalnych stosunków, gdy ze strony wschodniego sąsiada nie grozi już niebezpieczeństwo, powróciła statua Joanny d'Arc na swoje miejsce na placu katedralnym, aby stać się znów jego ozdobą i zwiastunką powrotu lepszych czasów. Powrót jej był też dla każdego Francuza prawdziwem świętem pokoju, jednocząc u jej stóp cały naród, bez różnicy zapatrywań politycznych. W dniu tym, 17. lipca b. r. odprawił z tego powodu pontyfikalną mszę świętą na placu katedralnym, na stopniach prastarej katedry, kardynał Lucon, arcybiskup Reims, w otoczeniu licznego kleru, a wobec tysiącznych tłumów wiernych, polecających losy swoje i swej ojczyzny swej nowej Patronce, która opuściła mury miasta przed kilku laty jako bohaterka narodowa, a obecnie powróciła jako święta i Orędowniczka Francyi.

Odznaczenie obrońców Zamarstynowa.

W owe pamiętne dni roku ubiegłego, w listopadzie, gdy zdawało się, że Wschodniej Małopolsce grozi zagłada przez zalewające ją hordy bolszewickie, cała ludność polska, bez różnicy stanu i wieku stanęła do walki w obronie swej wolności i zachodniej kultury przed wschodniem barbarzyństwem. O lepsze szli między sobą i mężczyźni i kobiety, stwierdzając nie po raz pierwszy, a zapewne i nie po raz ostatni, że wschodnie nasze kresy były, są i będą, tak, jak dawniej przedmurzem chrześcijaństwa, dziś zachodniej cywilizacyi i kultury.

Owe wysiłki polskich mieszkańców wschodniej części naszego kraju, przedewszystkiem zaś Lwowa i jego najbliższych okolic, wprawiły w podziw swoich i obcych. Oceni je kiedyś historya, stawiając na równi z poświęceniem obrońców starożytnej Kartaginy, gdy jej zagroziła rzymska przemoc. Kartagina nie zdołała się oprzeć najezdnikowi, o mężną pierś mieszkańców Wschodniej Małopolski rozbiła się bolszewicka nawała. Zdani sami na siebie, pokazaliśmy światu, że żyje w nas duch rycerski przodków, który obudzi się w każdej chwili, ilekroć zagrożonym będzie nasz słuszny i sprawiedliwy stan posiadania. Przed rokiem, gdy czerwona dzicz wyciągnęła swą grabieżczą dłoń po naszą własność, zerwali się do walki wszyscy, w kim tylko biło polskie serce. Zapał podwajał i potrajał ich słabe siły, zwyciężyli wroga wielekroć liczniejszego i lepiej zaopatrzonego w materyał wojenny.

I znów pokryła się ziemia nowemi mogiłami, kryjącemi zwłoki dzielnych obrońców, tych prawdziwych męczenników w imię sprawiedliwości i wolności.

Gdy przed laty pielgrzymi polscy prosili papieża Piusa IX o relikwie świętych, odpowiedział, że Polska ich nie potrzebuje, gdyż wystarczy wziąść w dłoń garść ziemi i ścisnąć ją, a popłynie z niej krew męczenników, którzy życie swe poświęcili obronie wiary chrześcijańskiej. Słowa te nabierają dzisiaj tem większego znaczenia, gdy ziemia ta, zwłaszcza na wschodnich kresach przesiąknięta jest krwią męczenników za wolność i wiarę.

Pamięć tych, którzy życie swe złożyli na ołtarzu Ojczyzny, czcimy rzewnem wspomnieniem, tym



Odznaczenie obrońców Zamarstynowa: Grupa obrońców VII. odcinka z brygadyerem Mączyńskim w pośrodku.

zaś, którzy przy życiu pozostali, nie szczędzimy widomych dowodów uznania za ich poświęcenie i męstwo. Odznaczanie zasłużonych odbywać się musi grupami, gdyż każdy mieszkaniec tych okolic, o ile należy do narodowości polskiej, to żołnierz, a każdy żołnierz to bohater.

O odznaczeniu dzielnych obrońców Lwowa pisaliśmy już kilkakrotnie, obecnie przychodzi kolej na mieszkańców Zamarstynowa i Żółkiewskiego, tych najdalej na północ wysuniętych lwowskich przedmieść. W pamiętne dni listopadowe ubiegłego roku pospieszyli i oni z bronią w ręku, aby utworzyć żywy wał, mający przeszkodzić wrogowi w wtargnięciu do miasta. Walka na tym odcinku była zażarta, zwycięstwo jak i na wszystkich innych, zostało po naszej stronie.

W niedzielę, dnia 24 lipca b. r. obchodziła ludność Zamarstynowa uroczystość wręczenia odznak tym obrońcom Lwowa, którzy w pamiętnych dniach listopadowych chwycili za oręż na rozległym odcinku podmiejskim Żółkiewskiego i Zamarstynowa, aby wziąć udział w zaciętej, gwałtownej rozprawie o posiadanie stołecznego grodu, a z nim i wschodniej części naszego kraju.

Wśród wzgórz u stóp krzyża grunwaldzkiego, skąd wspaniały na panoramę Lwowa otwiera się widok, zebrały się tłumy ludności, długim rzędem stanęli Obrońcy Lwowa z tego wysuniętego na północ odcinka, przed ołtarzem polowym zajął miejsce bryg. Cz. Mączyński, wicepr. miasta Dr Stahl, płk. R. Hausner i liczny zastęp oficerów. Przybyła dalej miejscowa Straż ogniowa ze sztandarem, tudzież wiele znanych Obrońców Lwowa i innych odcinków.

Po nabożeństwie odprawionem przez duchowieństwo miejscowe, delegacya Obrońców złożyła wieniec na grobach poległych na miejscowym cmentarzu, poczem przemówił do zebranych bryg. Cz. Mączyński podnosząc znaczenie Czynu listopadowego i omawiając na tle ówczesnych bojów akcyę, podjętą na wysuniętym na północ odcinku podmiejskim, wreszcie poświęcił słowa gorącego wspomnienia tym, którzy legli na szańcu a zwłaszcza śp. kap. W. Starckowi. Z kolei w krótkich a jędrnych słowach przemówił wicepres. dr L. Stahl na temat przynależności Wschodniej Małopolski do Rzeczypospolitej, w końcu w imieniu listopadowych Obrońców Lwowa, walczących na odcinku Zamarstynowsko-żółkiewskim, kap. F. Waluszewski zwrócił się do zebranych z wyjaśnieniami dotyczącemi odznaki odcinkowej. Po odczytaniu listy 172 odznaczonych bryg. Mączyński wręczył kolejno bojownikom z Zamarstynowa i Żółkiewskiego odznakę honorową. Podczas uroczystości przygrywała muzyka wojskowa.



Odznaczenie obrońców Zamarstynowa: Delegacye i ludność miejscowa podczas Mszy św. polowej.



Odznaczenie obrońców Zamarstynowa: Przemówienie brygadyera Mączyńskiego. 1) Brygadyer Mączyński, 2) Wiceprezydent Stahl, 3) Brygadyer Hausner.

Zbrodniczy zamach Wszechniemców w Rybniku.

Z telegramów pism codziennych i z licznych korespondencyi wiedzą już Czytelnicy o strasznym wybuchu, jaki w ostatnich dniach czerwca b. r. wydarzył się w Rybniku na Górnym Śląsku, a był dziełem, jak wszystkie dane wskazują, niemieckich hakatystów, nie mogących się w żaden sposób pogodzić z myślą, że powiaty rybnicki i pszczyński mają bezwarunkowo przypaść Polsce, starają się też o to, aby je oddać w stanie zupełnego zniszczenia.

Na dworcu kolejowym w Rybniku wyleciało w powietrze kilka wagonów, naładowanych materyałami wybuchowymi, przeznaczonymi dla jednej z sąsiednich kopalni, powodując dookoła straszne spustoszenie i wyrządzając szkody obliczone pierwotnie pobieżnie na kilkanaście milionów marek, dochodzące, jak się później okazało po dokładniejszem zestawieniu, do ośmdziesięciu milionów. — Szczegóły wybuchu podaje *Gazeta Rybnicka* w następujący sposób:

We środę dnia 22 czerwca wieczorem około godz. 9 tej i pół zostali mieszkańcy miasta Rybnika niezmiernie wystraszeni wskutek okropnej detonacyi. Powodem był niecny zamach, wykonany przez Niemców na tutejszy dworzec.

Jak nam zgodnie donoszą, wysadzono w powietrze 4 wagony materyału wybuchowego, przeznaczonego dla kopalń powiatu rybnickiego. O sile eksplozyi świadczą nadzwyczajnie wielkie straty w Rybniku. Prawie żaden dom nie pozostał nieuszkodzony. Większe uszkodzenia przy dachach, zapadnięte mury i rozbite szyby są widoczne niemal na każdym domu. Spadające części murów i szyb z okien zraniły niejednego przechodnia. Najwięcej uszkodzone są budynki w pobliżu dworca. Samo miejsce wybuchu przedstawia obraz strasznego zniszczenia.

Wybuch był tak gwałtowny, że pozrywał znaczne części szyn, odrzucił o kilka metrów w bok naładowane wagony, a lokomotywy zupełnie zdruzgotał. Nawet części żelazne, o ciężarze kilku cetnarów, były rzucone o kilkaset metrów. Nad wagonami, w których znajdował się materyał wybuchowy czuwało trzech czy czterech ludzi, prawdopodobnie robotnicy kopalń, dla których materyał wybuchowy był przeznaczony. Pozostały z nich tylko drobne części ciała. W odległości kilku metrów znaleziono wnętrzności, kości, szczęki i części czaszki. Członkowie Czerwonego Krzyża pani Botori, dentysta Conrad zbierali je z poświęceniem. Na miejscu wybuchu ukazała się natychmiast Komisya Międzysojusznicza, polskie władze cywilne i wojskowe, jakoteż polscy i francuscy lekarze, personal sanitarny,



Zbrodniczy zamach Wszechniemców w Rybniku: Siedziba Komisaryatu niemieckiego w Rybniku i główna kwatera „Sztostrupierów" obecnie budynek pol. Czerwonego Krzyża. W głębi dom dra Ogórka, założyciela Górnośląskiej Partyi Ludowej.

dalej urzędnicy żandarmeryi, którzy rozpraszali coraz to zwiększający się tłum ciekawych. Przyaresztowano bez wyjątku wszystkich urzędników stacyi i służbę pociągową stacyi rybnickiej, od przełożonego do najъ łodszego pracownika. Już na pierwszy rzut oka można było poznać u niektóryc, że należą do związku „Heimatstreuer". Przy aresztowaniu uśmiechali się ironicznie.

Że zamach został wykonany ze strony niemieckiej, istnieją następujące dowody: We wtorek dnia 21 czerwca, wieczorem odbyło się tajne posiedzenie „heimatstreuerskich" kolejarzy i sztostruplerów. Od tego czasu przepadło bez wieści sześciu do siedmiu urzędników kolejowych stacyi Rybnik i Paruszowice. Mniejwięcej godzinę przed zamachem przesunięto owe cztery wagony z materyałem wybuchowym z szyn 22 na szyny 21, które były podminowane na co wyraźnie wskazują zagłębienia w ziemi. Znaleziono również kilka cienkich drucików elektrycznych, które prowadziły do miejsca wybuchu.

Pół godziny przed eksplozyą słyszał jeden z polskich urzędników kolejowych na dworcu w Rybniku, rozmowę dwu nieznajomych, którzy twierdzili, że niezadługo będzie już po wszystkiem. Dziwić się również należy, że z pośród „heimastreuerskich" kolejarzy i robotników nikt nie utracił życia, ani nie odniósł ran. Otóż musieli wiedzieć kiedy i gdzie wybuch nastąpi i zawczasu omijali to miejsce.

Są więc pewne dowody na to, że zamach ten urządzili Wszechniemcy.

Biuro Wolfa w Bytomiu ogłasza zaś następujące sprawozdanie:

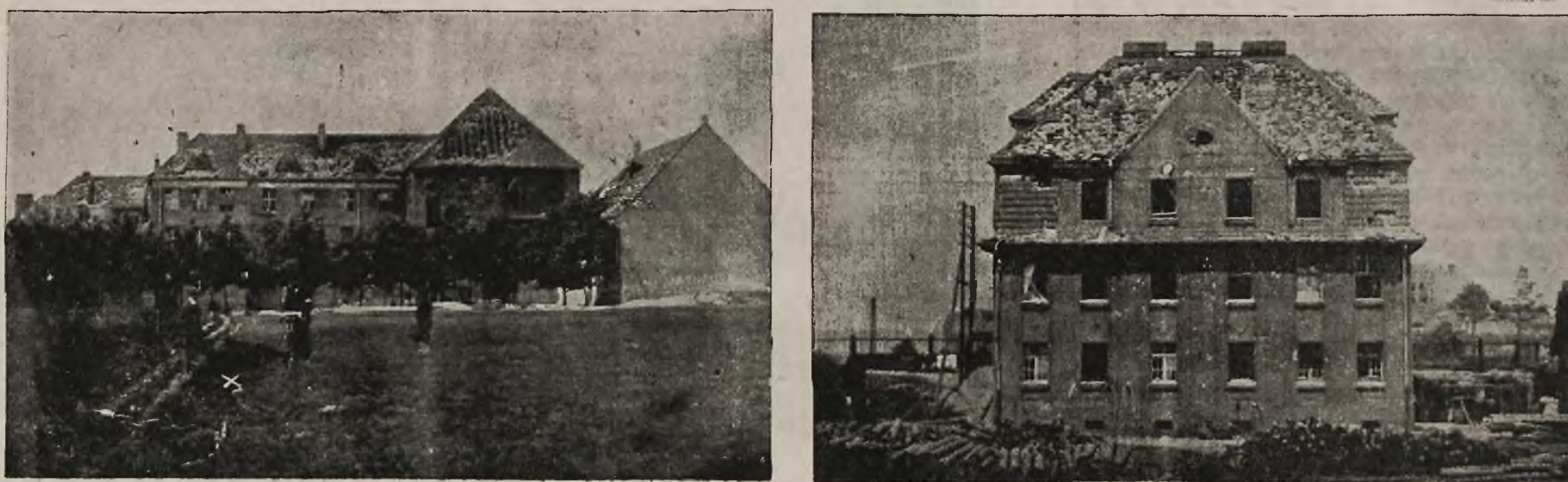
Rybnik, 23 czerwca. Straszliwa katastrofa wydarzyła się na tutejszym dworcu. Na obszarze dworca towarowego nastąpił nagle wybuch 2 wagonów towarowych. W mgnieniu oka wystrzeliły w górę dwa potężne słupy ognia, poczem posypał się na miasto potężny grad żelaza. Ogromny nacisk powietrza zburzył wszelkie szyby na dworcu i w sąsiednich budynkach. Domy urzędników są strasznie uszkodzone. — Gimnazyum poniosło również dotkliwe szkody. Wielkie okna wystawowe sklepów w Rynku są potłuczone. Odgłos detonacyi rozległ się na przestrzeni mniejwięcej 25 kilometrów. Pociąg towarowy do którego należały owe dwa nieszczęsne wagony, uległ prawie zupełnemu zniszczeniu. Przeszło 30 wagonów tworzy stos gruzów i rumowisk. Trzy obok siebie leżące tory są rozerwane.

Podniecenie wśród ludności jest ogromne. Jednomyślnie nawet po stronie niemieckiej, panuje przekonanie, że w tym wypadku rozchodzi się o zamach. Na podstawie dotychczasowych rokowań było pewnem, że Rybnik przypadnie do Polski. Niemieccy „sztestruplerzy" mówili przeto otwarcie o tem, że z tego powodu wszystko musi być wysadzone w powietrze. Wykorzystano więc pierwszą sposobność, aby owe niecne i zbrodnicze zamiary wprowadzić w czyn.

Z powodu wybuchu ucierpiał najbardziej dworzec i najbliższe jego otoczenie, w mieście szkody są również olbrzymie, nie brak ich i w okolicy w promieniu prawie dwudziestopięcio kilometrowym. Jak stwierdzono trzech ludzi straciło życie, kilkadziesiąt osób odniosło cięższe i lżejsze obrażenia. Ilość wybitych szyb przenosi kilkaset tysięcy.

Charakterystycznem jest, że urzędnicy niemieccy opuścili w przeddzień katastofy domy na dworcu kolejowym, gdzie stale zamieszkiwali, widocznie zatem wiedzieli, co ma nastąpić. Na to wskazywałyby także słowa niemieckich pań, podchwycone na targu:

„Jetzt werden die Deutschen anfangen"...



Zbrodniczy zamach Wszechniemców w Rybnikach: 1. Budynek gimnazyum męskiego ze śladami zniszczenia. Obok kilka cetnarów ważący kawał żelaza(X)odrzucony siłą wybuchu prawie na pół kilometra od miejsca katastrofy. 2. Dom mieszkalny niemieckich urzędników kolejowych nieopodal miejsca wybuchu, opuszczony przez lokatorów w przeddzień katastrofy.



Zbrodniczy zamach Wszechniemców w Rybniku: 1. Komisya Międzysojusznicza na miejscu wybuchu. Na pierwszym planie kapitan francuski Lalзin i włoski pułkownik Bornes. 2. Polskie władze na miejscu wypadku: P. Arturowa Trunkhardtowa (Pol. Czerw. Krzyż), por. żand. pol. Jäger, ob. ryb. Klimek, naczelnik stacyi kol. w Niedobczycach Krömer. 3. Szczątki wagonów, w których znajdowały się materyały wybuchowe. 4. Miejsce katastrofy.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

A tajemnica dahabijeh, pięknej Lonlii — czy była zamknięta w łonie Wschodu?

W tem milczeniu duch Isaacsona szukał porozumienia z duchem Hanzy, lecz miał wrażenie, że jest łagodnie odpychany.

- Doktor Isaacson!

Mrs. Armine ukazała się na progu.

— Pan jest tutaj... z Hanzą? Może pan zechce przyjść i dać memu mężowi środek nasenny.

— Z największą chęcią.

Kiedy się znaleźli w pokoju, rzekła:

— Źle się stało. Nie jesteśmy w porządku z doktorem Hartleyem. Ale nie chciałam się sprzeciwić Nigiowi. Rekonwalescenci są tacy uparci.

— Rekonwalescenci!

— Tak, rekonwalescenci.

— Pani myśli, że jej mąż jest rekonwalescentem?

— Rozumie się. Pan go nie widział w pierwszych dniach po porażeniu.

— To prawda.

— Proszę mu dać swe lekarstwo, a potem musimy wreszcie udać się na spoczynek.

Kiedy mówiła te słowa, zauważył w jej głosie, że jej panowanie nad sobą już było na wyczerpaniu.

— To nie potrwa dłużej nad chwilę — rzekł. — Gdzie jest chory?

Wprowadziła go do kajuty, w której na łóżku, oparty o poduszki, leżał Nigel. Jedna paląca się świeca słabo oświecała pokój. Mrs. Armine stanęła w głowach łóżka i patrzała na zwróconą do siebie wychudłą, ołowiano-szarą twarz.

— A teraz doktór Isaacson tak uczyni, że będziesz spał.

— Dzięki Bogu. Reumatyczne bóle strasznie silne dzisiaj.

— Reumatyczne? — rzekł Isaacson.

Nalał trochę wody do szklanki i wpuścił do niej lekarstwo. Trzymał szklankę tak, że aby ją wziąć, chory musiał wyciągnąć rękę. Nigel uczynił ten ruch, lecz ręka opadła i rzekł z niezadowoleniem.

— Podaj ją bliżej.

Isaacson zbliżył ją do jego ust.

— Reumatyczne? — powtórzył, kiedy Nigel wypił lekarstwo.

— Tak. — Westchnął i osunął się niżej. — Nie mogę tego pojąć. Reumatyzm w tym cudownym klimacie! — szepnął.

Mrs. Armine uczyniła ostentacyjny ruch, jakby chcąc odejść i zostawić ich sam na sam.

— Nie, nie odchodź, Ruby — rzekł Nigel, szukając jej ręki. — Chciałbym... żebyście oboje... byli przyjaciółmi. Prawdziwymi przyjaciółmi. Isaacson, ty nie wiesz, jaką ona była przez ten czas... przez ten okropny czas. Nie wiesz tego...

Słaby jego głos zamarł.

— Przyjdę jutro — rzekł po chwili Isaacson.

— Tak, przyjdź. Musisz mnie wyleczyć.

Mrs. Armine nie mogła odprowadzić Isaacsona do feluki, ani zamienić z nim słowa na osobności, gdyż Nigel nie puszczał jej ręki.

— Muszę przy nim pozostać, aż uśnie — rzekła prawie szeptem Isaacsonowi, kiedy wychodził.

Stała lekko pochylona nad łóżkiem. Można było pomyśleć, że to anioł stróż, czuwający nad chorym człowiekiem, lecz Isaacson czuł dziwną niechęć do opuszczenia łodzi tej nocy.

Spojrzał na Mrs. Armine, która wytrzymała to spojrzenie i wyszedł, pozostawiając ją w tej pięknej, opiekuńczej postawie.

Feluka stała gotowa. Wsiadł do niej i dwóch żeglarzy skierowało ją na rzekę. Wiosłując, zaczęli śpiewać. Żółte światła Lonlii zasuwały się jedno za drugie. Tylko wysoko na maszcie jaśniało błękitne światło, jakby czujne oko. Ciemna woda porwała felukę, prąd pomagał wioślarzom i czółno płynęło szybko. Światła Lonlii zaczęły niknąć, kiedy Isaacson rzekł do swych ludzi:

— Cicho!

Podniósł rękę. Zdziwieni Nubijczycy odłożyli wiosła. Śpiew zamarł na ich ustach.

Poprzez wodną przestrzeń dał się słyszeć słaby, lecz przenikliwy odgłos śmiechu. Ktoś się śmiał, śmiał i śmiał w nocy.

Nubijczycy spoglądali jeden na drugiego.

Nastąpiły krzyki, a po nich... czy to nie było łkanie szlochającej gdzieś kobiety?

Isaacson s uchał, aż wszystko umilkło. Wiedy z poważną, uroczystą miną skinął na Nubijczyków.

Pochylili się nad wiosłami i feluka popłynęła w dół Nilu.

XIX.

Wysyłając swój list na Fatmę, Mrs. Armine jednocześnie zatelegrafowała do doktora Hartley'a, prosząc go, żeby jak najprędzej przybył na Lonlię. Powiedziała Isaacsonowi, że przyjedzie o czwartej, lecz przyjechał na kilka godzin przed oznaczoną przez nią porą na konsylium. A Isaacson wciąż oczekiwał na Fatmie.

Nie spał całą noc. Sen Nilu, w który poprzednio słodko zapadał, opuścił go bezpowrotnie. Instynkt szeptał mu, żeby o świcie udać się na Lonlię. Lecz po raz pierwszy głosu tego nie usłuchał. Zimny rozsądek mówił: „Festina lente" i poszedł za nim. Po bezsennej nocy, wśród której gorączkowe myśli go nawiedzały, miał przed sobą kilka spokojnych, samotnych godzin. Po spojrzeniu, które rzucił na Mrs. Armine, wychodząc z kajuty Nigla, nie było powodu — myślał — śpieszyć zaraz z rana do chorego. Niech nasenne lekarstwo uczyni swoje, a on niech skorzysta z tych kilku godzin dla uspokojenia rozgorączkowanego umysłu.

Siedział więc na pokładzie, podczas gdy słońce wznosiło się na pogodnem niebie i patrzał na pracujących na brzegu fellahów.

Nagie ciała pochylały się i prostowały, a z piuc wychodziły namiętne pieśni, które rozlegały się na brunatnych wybrzeżach Nilu może jeszcze wtedy, kiedy Sfinks po raz pierwszy zwrócił swe nieziemskie oczy ku wieczności.

Lecz pomimo, że Isaacson dał sobie umyślnie ten wypoczynek ażeby się opanować i przygotować do walki, nie czekał na godzinę oznaczoną przez Mrs. Armine. Zaraz po pierwszej, w największy upał wsiadł do małego czółna, które było jedyną feluką przy Fatmie, zabierając z sobą Hassana.

Po co go zabierał, sam dobrze nie wiedział.

W nocy, płynąc z prądem, prędko przebył tę drogę, teraz musiał płynąć przeciw wodzie. Wioślarze ciężko pracowali. Pomimo ich wysiłków czółno płynęło powoli. Isaacson doznawał wrażenia, jak gdyby jakaś siła starała się go powstrzymać. Lecz wreszcie zbliżyli się do Lonlii i jego bystre oczy wypatrywały, czy nie zobaczą jakiejś postaci na balkonie. Nie spostrzegł nikogo, balkon był pusty. I wydało się mu, jak gdyby w tym upale łódź spała; jak gdyby nie było na niej nigdzie życia: i to uczucie wzmagało się w miarę zbliżania. Na górnym pokładzie, wszystkie zasłony płócienne były spuszczone. Okienice zasłaniały okna kajut. Drzwi do salonu z fontanną były otwarte, lecz sam pokój pogrążony w cieniu, którego wzrok Isaacsona nie mógł przeniknąć. Kiedy dopływali żaden głos ich nie pozdrowił. Zaczął żałować, że przybył w porze siesty. Mijali zielone okienice za zielonemi okienicami, aż dosięgli przedniego pokładu, gdzie w witającej postawie stał uśmiechnięty Ibrahim. Isaacson doznał prawie uczucia lęku, widząc, że był oczekiwany.

Wysiadł, a za nim podążył Hassan. Na pokładzie leżeli w głębokim śnie pogrążeni żeglarze. Isaacson zapytał zniżonym głosem Ibrahima, czy mówi po angielsku.

— Tak, mój panie. Pan przybywa, żeby powitać dobrego doktora, który leczy my Lord Arminigel. Jest tutaj już od długiego czasu.

— Już jest tutaj?

Ibrahim uśmiechnął się potakująco.

— Od bardzo długiego czasu. On przybył tutaj, żeby żyć z nami, aż my lord będzie zdrów.

Po tych słowach Ibrahim odwrócił się, zebrał fałdy swej złocistej szaty i wszedł na schody, prowadzące na górny pokład. Isaacson poszedł za nim myśląc: — powinienem był przybyć wcześniej.

Wstępując na schody spojrzał w górę i zobaczył szczupłego młodego człowieka ubranego w białe z żaglowego płótna spodnie, jedwabną koszulę z niskim miękkim kołnierzem, jasno różowy krawat, doskonale skrojony popielaty żakiet, różowe skarpetki i białe obuwie. Ten młody człowiek leżał prawie w głębokim fotelu z kapeluszem panama nasuniętym na oczy, tak że brzeg kapelusza opierał się lekko o jego czysto zarysowany, trochę impertynencki krótki nos. Z ust jego wychodził dym papierosa.

Kiedy Isaacson stanął na dywanie pokrywającym pokład, młodzieniec zdjął kapelusz, spojrzał, spuścił nogi i wstając, rzekł:

— Doktor Isaacson?

— Tak — odrzekł Isaacson podchodząc do niego.

Młody człowiek leniwym ruchem wyciągnął rękę.

— Rad, że pana spotykam. Jestem doktór Baring Hartley, któremu powierzono tutaj sprawę udaru słonecznego. Przybyłem dzisiaj z Asnau, żeby zobaczyć mego pacyenta. Pozwoli pan papierosa?

— Dziękuję — rzekł Isaacson przyjmując.

— Piękna pogoda w Asnan. To pański pierwszy pobyt na Nilu?

Młody człowiek mówił ledwo znacznym amerykańskim akcentem. Po zdjęciu kapelusza ukazał opaloną, trochę piegowatą twarz, gęste, ciemne kędzierzawe włosy; małe wąsiki i duże, okrągłe żółto-brunatne oczy, w których malował się jego charakter. Były ładne i nie bez uczucia: lecz okazywały egoizm, połączony ze zmysłowością. Wyglądał bardzo młodo, chociaż miał około trzydziestu lat.

— Tak, pierwszy raz jestem w Egipcie.

— Może pan usiądzie?

Mówił ze swobodą gospodarza i zagłębił się znowu w swoim fotelu trzymając kapelusz na kolanach i wyciągając nogi. Isaacson siadł na mniejszem krześle, pochylił się naprzód i przystąpił do inte esu.

— Mr. Armine, albo Mrs. Armine — oboje może— musieli pana objaśnić jak zostałem do tej sprawy wmieszany? Jestem dawnym przyjacielem pańskiego pacyenta.

— Zgadłem to — rzekł Harley dziwnie sucho.

— Znałem go na długo przed jego ożenieniem, długo przedtem, nim zachorował; będąc tutaj i słysząc o jego nagłej, poważnej chorobie, chciałem naturalnie go zobaczyć.

— Bardzo naturalne.

— Prawdopodobnie pan zna moje nazwisko, jako jednego z londyńskich lekarzy?

— Ma się rozumieć. Pańska sława jest wielka, doktorze Isaacson. Dziwię się nawet, że panie dozwoliły panu wyjechać.

Uśmiechnął się i pociągnął z afektacyą zawąsik

— Dlaczego panie szczególniej?

— Zrozumiałem, że pańska praktyka składa się głównie z londyńskich elegantek, cierpiących na neurastenię.

— Nie.

Głos Isaacsona stał się echem suchości głosu doktora Baring Hartley.

— Przykro mi.

— Czy mogę się spytać, dlaczego?

— Z tamtej strony oceanu znajdujemy, że one są — czy mam powiedzieć, najlepszym typem pacyentów?

— Ah!

Isaacson wspomniał na powiedzenie Mrs. Armine, które go zaprowadziło wprost do chorego przyjaciela. Domyślił się jej insynuacyi w usłyszanych teraz słowach.

— Wracając do Mrs. Armine — rzekł — jestem pewny...

Lecz doktór Hartley przerwał mu ze spokojną stanowczością. Posiadał ten przymiot, że zdawał się mieć wielkie panowanie nad sobą.

— Znajduję, że szczerość zawsze rozjaśnia sprawę — rzekł, wygładzając jakąś zmarszczkę na spodniach. — Nie proszę o konsylium, doktorze Isaacson. Nie uważam, żeby było potrzebne, jak tylko znajdę, że byłoby pożądane, będę rad pana poprosić.

Isaacson patrzał na dywan.

— Pan znajduje, że stan Mrs. Armine jest zadawalniający? — zapytał, podnosząc oczy.

— To poważny wypadek porażenia słońcem. Wymagać będzie dużo czasu i starania. Postanowiłem zostać kilka dni na łodzi i oddać się zupełnie kuracyi.

— Bardzo pięknie.

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, że wkrótce postawię mego pacyenta na nogi.

— Pan nie widzi żadnych komplikacyi?

— Komplikacyi?

Ton jego był wyraźnie nieprzyjazny. Lecz Isaacson powtórzył chłodno:

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA:
MARYA TOCZYSKA

52 I.

Wszedł do pokoju energicznym krokiem, pozostawiając rozmyślnie za sobą drzwi otwarte.

— Pan zechce drzwi te zamknąć — odezwał się grzecznie Dick Leslie tak, jak gdyby naumyślnie chciał powiększyć podejrzenie młodego człowieka.

— Dobrze — odpowiedział Ranieri, zamykając drzwi na klucz i kładąc klucz do kieszeni.

— Oh! tak mi się podoba — uśmiechnął się detektyw. — Widzę, że już teraz pan hrabia przestał mnie uważać za niebezpiecznego intruza. A przecież kazałem panu oddać przed chwilą bilet przyjaciela pańskiego, hrabiego Roberta Alimeny, więc powinienem zasługiwać na trochę więcej zaufania.

— Ostrożność nigdy nie zawadzi — mruknął przez zęby młody człowiek.

— To prawda. Czy pozwoli mi pan mówić?

— Owszem.

— Wiadomo panu, nieprawdaż, że hrabia Alimena przybył do Londynu w pewnej tajemniczej intencyi?

— Tak. Robert Alimena jest moim najlepszym przyjacielem.

— Chciał on odnaleźć kobietę o uciętej ręce, właścicielkę tej pięknej ręki, do której posiadania przyszedł w tak niezwykły sposób.

— Wiem o tem.

— Nie dowierzając jednak własnym siłom, zwrócił się do jednego ze swoich przyjaciół z ambasady i ten przyjaciel zaprowadził go do dyrektora policyi.

— Ah! tak? — szepnął Ranieri, mierząc spojrzeniem mówiącego.

— Dyrektor policyi wskazał mu zaś jedynego człowieka, mogącego odnaleźć kobietę, o którą chodziło, a był nim ajent, przeznaczony do spraw prywatnych, to jest do poszukiwań sekretnych w rodzinach znanych i możnych, poszukujących spadkobierców, dzieci naturalnych osób zaginionych... Ten ajent niezwykłych zdolności posiada już pewną wyrobioną opinię i sławę...

— Ah! — powtórzył Ranieri, patrząc uważnie na mówiącego.

— Na szczęście człowiek ten był w tej chwili i natychmiast stanął do dyspozycyi hrabiego Alimeny.

— Kto jest ten człowiek?

— To ja, panie hrabio — odpowiedział ze skromnym uśmiechem Dick Leslie.

— Pan? Więc pan jest ajentem policyjnym?

— Tak, panie, mam ten zaszczyt! Policya nie jest błahą rzeczą!

— Aha! więc pan jest detektywem? Tak się nazywają ludzie, poświęcający się zawodowi pana, nieprawdaż?

— Tak jest. Jestem detektyw, Dick Leslie, bez którego hrabia Alimena nie odnalazłby ani damy o uciętej ręce, ani doktora Markusa Hennera.

— Co? Pan odnalazł Markusa Hennera? Naszego największego nieprzyjaciela? Tego mordercę, zbrodniarza! Nikczemnika, który zgubił Rachelę moją! — zawołał Ranieri zdumiony.

— Ja sam, panie hrabio.

— Jest więc pan naszym dobroczyńcą!

— Oh! Nie kosztowało mnie to wiele! — oświadczył ze skromnym uśmiechem Dick Leslie, szczęśliwy, że Ranieri wyzbył się już podejrzliwości względem niego.

— Trudniejsza sprawa była odnaleźć kobietę o uciętej ręce.

— Ona była ukryta przez Markusa Hennera, nieprawdaż?

— Tak.

— Przeczuwałem to. Ale niechże mi pan wszystko opowie! Wszystko wyjaśni!

— Nie mogę panu powiedzieć wszystkiego — odparł Dick, potrząsając głową.

— Nie wie pan wielu rzeczy — nieprawdaż?

— Owszem, wiem. Wszystko odbyło się na moje szczęście i nieszczęście w obecności mojej.

— Na nieszczęście? Co to znaczy? Robert przecież? Zdrów!

— Tak — ale może wolałby nie żyć wcale.

— Nie rozumiem pana.

— Nasze przejścia były radosne i smutne bardzo, panie hrabio. Takie musiało być przeznaczenie. Nie lubię Turków i Turcyi. Ale kiedy się jest fatalistą, zaczyna się ich rozumieć.

— Oh! panie Leslie, proszę mi wszystko powiedzieć — prosił Ranieri.

— Historya ta byłaby za długa, a ja nie umiałbym jej opowiedzieć. Ale przyniosłem panu te papiery.

— Przez kogo one pisane?

— Przez trzy osoby.

— Przez trzy osoby?

— Tak, przez hrabiego Roberta Alimenę, Markusa Hennera i Maryę Kabib.

— Maryę Kabib? Maryę Kabib? Kto to jest? — zawołał Lambertini, powstając szybko.

— Matka Racheli Kabib — odpowiedział spokojnie Dick Leslie.

— Matka Racheli? Robert odnalazł matkę Racheli? I nie zawiadomił mnie o tem telegraficznie? Nie napisał nawet?

— On pisał do pana... przezemnie.

— Gdzie ten list?

— Czy mam go oddać panu zaraz?

— Ależ oczywiście zaraz, jak najprędzej, niecierpliwił się Ranieri.

— Czy pan jest gotów wysłuchać i dowiedzieć się o rzeczach bardzo dziwnych i bardzo smutnych?

— Tak — szepnął Ranieri, silnie podniecony tą rozmową.

— O rzeczach, które wywrzeć mogą zmianę w życiu Ekscelencyi? — ciągnął dalej Dick Leslie, patrząc poważnie na młodego człowieka.

— Zmienić mogą moje życie?

— Tak.

— Jestem gotów usłyszeć wszystko.

— A więc proszę.

Dick Leslie wyciągnął z kieszeni płaszcza gruby portfel, wypchany listami. Koperty wszystkich listów zamknięte były pieczęcią z czarnego laku.

— Co znaczą te czarne pieczęcie? — zaniepokoił się Ranieri. — Przecież Robert Alimena żyje jeszcze?

— Żyje, panie hrabio — brzmiała spokojna odpowiedź detektywa. — Czy chce pan poznać zawartość tych listów.

— Chcę — odpowiedział krótko Ranieri.

— Oto są.

Mówiąc to Dick, złożył trzy zapieczętowane, duże koperty w jego ręce.

Ranieriego, oglądającego te listy, ogarnęło znowu uczucie przykrej niepewności. Spojrzał na Dicka.

Twarz detektywa, zazwyczaj dobroduszna i wesoła, poważna teraz była i skupiona.

— Który z tych listów radzi mi pan przeczytać najpierw — zapytał Ranieri, nie mogąc się zdecydować na wybór.

— Tego listu, zaadresowanego do Racheli Kabib, przeczytać pan nie może — odpowiedział Dick Leslie. — Ten oto kompletuje wiadomości, zawarte w liście od Markusa Hennera. Niech pan rozpocznie czytać od listu hrabiego.

— Dobrze.

— Tylko spokoju, panie hrabio i trochę zimnej krwi — upomniał jeszcze detektyw.

Ranieri nerwowym ruchem rozerwał kopertę, zaadresowaną wytwornem, ładnem pismem swojego przyjaciela i wyjął z niej kilka cienkich, podłużnych ćwiartek papieru. Ćwiartki te były drobiazgowo zapisane. Ranieri wzruszył niecierpliwie ramionami. Byłby chciał jednem spojrzeniem objąć wszystko i zrozumieć. Opamiętał się jednak i po chwili, już spokojniejszy, przystąpił do czytania.

Oto treść listu Roberta Alimeny:

„Coves, wyspy Wight. 25 marca.

Drogi przyjacielu! Żyję jeszcze, ale może nie zobaczymy się już więcej w tem życiu. W tych kilku miesiącach ostatnich, które wpłynęły na wytworzenie się naszej obopólnej przyjaźni, losy nasze dziwnym zbiegiem okoliczności tak dziwnie połączyły się ze sobą, że świat sądzący zawsze wszystko z pozoru, mógł łatwo uwierzyć, że naprawdę byłem twoim mordercą. Ty jeden wiesz, że myśl zbrodni nie powstała nigdy w mojej głowie. Ty jeden to wiesz, i Ty jeden objawiłeś to przekonanie głośno. Wiesz także, że Cię kocham i że kochać Cię będę, gdziekolwiek mnie losy rzucą, do ostatniej chwili mojego życia. Czy ta chwila wkrótce nadejdzie dla mnie? Mam nadzieję, że tak. Nie jestem w stanie popełnić samobójstwa, bo uważam to za rzecz podłą i głupią, ale wzywam śmierci jak wybawienia. W tym ostatnim roku mojego życia przeżyłem takie cierpienia i takie radości, iż zdaje mi się, że lata moje liczyć się mogą na wieki. Czuję mój drogi, że powinnością moją jest wtajemniczyć Cię w przebieg przeżyć moich z ostatnich czasów, złączonych z pobytem moim w Anglii. Winienem to uczynić nie tylko jako przyjaciel, ale także i dla tej przyczyny, że to opowiadanie wyjaśni naszą wspólną smutną przeszłość, a Tobie doda odwagi i pewności do przetrwania dalszych dni. Niestety! dla mnie już wszystko skończone!

Opowiadanie to mój drogi Ranieri pozwoli także wzmocnić i uspokoić mój umysł, dając mi chwilę wytchnienia i ulgi. Chciej mi uwierzyć, mój drogi, że nie jestem neurastenikiem, który z upodobaniem napawać się będzie fantastycznemi wizyami niezdrowej miłości, lub za cieniem jakiejś mary nieuchwytnej, jak o to mnie niektórzy posądzają. Osiągnąłem cel, do którego dążyłem całą mocą i kobieta, którą kochałem — była i żyła — i taką piękną była, Ranieri, taką piękną i taką godną miłości i poświęcenia! Ale lepiej powrócić do realnej strony mojego opowiadania. Przypominasz sobie zapewne, że udałem się w podróż w poszukiwaniu kobiety o uciętej ręce. Szukając jej, szukałem równocześnie jej kata, jej prześladowcę, który okazał się być wspólnym naszym wrogiem. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zaraz po przybyciu do Londynu znalazłem doskonałego pomocnika i doradcę w osobie Dicka Leslie, bardzo zdolnego detektywa. On to Ci wręczy ten list. Jest to jedyny przyjaciel, znaleziony tutaj. Jemu to zawdzięczam rozwiązanie największego problemu mojego życia, a jeżeli wszystko skończyło się w sposób tragiczny, nie jemu winę przypisać należy. Takie było przeznaczenie. Słowa te, Ranieri, są jedyną pociechą ludzi zrozpaczonych, a ja do nich teraz należę. Już po pierwszej rozmowie z Dickiem Leslie poznałem, że jestem na dobrym tropie i że zaprowadzi mnie on aż do kobiety o uciętej ręce i do Markusa Hennera. Przedsięwzięcie było bardzo trudne, ale odwaga i zdolność mojego przyjaciela okazały się godne tych trudów. Dowiedzieliśmy się, że Markus Henner, żyd, lekarz-hypnotyzer, mieszkał w jednym z domów na Broadvay, pracując publicznie, choć z drugiej strony wiódł życie tajemnicze bardzo. Dowiedzieliśmy się równocześnie, że więził u siebie kobietę, że prawie każdej nocy przyjmował u siebie w wielkiej tajemnicy ludzi nieznanych i że na całem jego życiu ciężyła jakaś niedościgniona zagadka. W krótkim czasie przekonałem się, że kobieta, która była u niego, była tą samą, którą widzieliśmy z nim w Rzymie, że nazywała się Marya, nie była już bardzo młoda i miała córkę. Najważniejszem było dla mnie dowiedzenie się, czy ta kobieta miała jedną rękę uciętą. Ale o tym fakcie dowiedziałem się później, o wiele później. Co za straszna tajemnica, mój przyjacielu i jaka okropna historya! Nie jestem w stanie opowiedzieć tego w prostych słowach, bo całe moje życie jest z tem związane. Starać się będę jednak jak najjaśniej się wyrażać i nie odchodzić od realnego tematu, ale wybacz mi Ranieri, jeżeli rozpacz i oburzenie uniosą mnie niekiedy za daleko! Nie czyniłem sobie żadnych iluzyi co do przedsięwzięcia, które mnie sprowadziło do Londynu. Lecz po poznaniu Dicka Leslie, po rozmowie z nim, nabrałem takiej odwagi w jego zręczność, zdolność i przenikliwość, że bez wahania rzuciłem się naprzód w tę dziwną i niebezpieczną awanturę. Dodać Ci jeszcze muszę, że jeszcze to zawdzięczam, iż przeżyłem jeden miesiąc, tak, Ranieri, jedyny miesiąc, najrozkoszniejszy i najstraszniejszy w mojem życiu. Wkrótce po moim przyjeździe do Londynu, otrzymałem list od profesora Silvia Amanti, w którym donosił mi, że wynalazca preparatu konserwującego ciała, jest lekarz, żyd niemiecki, niejaki Markus Henner, który równocześnie jest hypnotyzerem i który obecnie znajduje się w Londynie. Był to pierwszy ślad, po którym mogłem iść dalej. Nie wiesz jeszcze, że przyjaciel mój, Silvio Amanti, na moją prośbę, wyciągnął był z ręki uciętej kroplę płynu, zanalizował ją i znalazł w niej jakieś preparaty nieznane, ale o których istnieniu wiedział już n eco. Wiedziałem już więc teraz, że ręka ucięta była dawniej w posiadaniu Markusa Hennera i że odnajdując jego znajdę także kobietę o uciętej ręce, lub przynajmniej wpadnę na jej ślad. Jak widzisz mój kochany Ranieri, przeznaczenie samo przywiodło mnie do Londynu, do tego miasta, gdzie właśnie

znajdował się ten potwór i to nawet w pobliżu Hotelu Piccadelly, na Charing-Cross, gdzie zamieszkałem. Drugi ślad został mi dostarczony przez Dicka Leslie, który wręczył mi adres Markusa Hennera i powiadomił mnie o tem wszystkiem, co ci opisałem, to jest o przebywaniu w jego domu jakiejś kobiety, którą Henner zazdrośnie ukrywał przed oczami ludzkiemi.

Przyznam ci się, że zaufanie moje do Dicka Leslie było od razu we mnie tak bezgraniczne, że wtajemniczyłem go od razu o posiadaniu cennego depozytu, jaki miałem u siebie. Ale na nieszczęście, on, który już wiedział o tylu rzeczach, niemógł mi powiedzieć czy tajemnicza kobieta zamknięta w domu Markusa Hennera miała jedną rękę uciętą, czy też nie.

Nazajutrz, po pierwszych poczynionych poszukiwaniach, Dick Leslie przyszedł mi powiedzieć, że ma mi do zakomunikowania bardzo ważne wiadomości. Kobieta mieszkająca u Markusa Hennera nazywała się Marya, miała lat trzydzieści ośm i była chrześcijanką bardzo gorliwą. Nie była ani żoną, ani kochanką Markusa Hennera, miała córkę, z którą od dawna była rozłączona. W końcu powiedział mi Dick, że ta Marya żyła jak zakonnica w swojem więzieniu i że kilkakrotnie usiłowała uciec stamtąd. Najciekawszem z tego wszystkiego było, że niejaki John, wierny służący Markusa Hennera, wzruszony niedolą biednej uwięzionej, gotów był pospieszyć z pomocą w razie jej ucieczki. Tego samego wieczoru jeszcze w jakiejś okropnej nocnej spelunce rozmawiałem z tym służącym. Byłem gotów uczynić wszystko, aby tylko tę Maryę wydrzeć z rąk Hennera. Potwierdził mi to wszystko co mi powiedział Dick Leslie, lecz dodał, że bez pomocy niejakiego Levy, prawej ręki Markusa Hennera było szaleństwem myśleć o ucieczce Maryi z domu garbusa. Ten Levy jednakże był również głęboko jak John przywiązany do nieszczęśliwej kobiety i gotów do wyrwania jej z tej okropnej niewoli, w której zatracała ostatnie lata swojej młodości. Rzecz cała jednak przedstawiała wiele trudności i niebezpieczeństwa. Markus Henner teroryzował wszystkich w domu hypnotycznym swoim wpływem i wszyscy żyli pod czarem tajemniczym, który się wydzielał z całej jego potwornej osoby i z którego jako ludzie ciemni i prości sprawy sobie zdać nie umieli.

Ciąg dalszy nastąpi).

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

— Za pozwoleniem, — zawołał na niego pan Michał — chodźno pan tutaj.

Na te słowa odwrócił się pan Władysław i stanął oko w oko z nieznajomym. Zbladł i oparł się o poręcz krzesła.

— A więc poznajesz go pan — rzekł pan Michał nie spuszczając zeń oczu.

— Czy go znam? — zapytał po chwili — Któżby nie znał tego kłamcę i pijaka. To żebrak, wyłudzający grosz od każdego opowiadaniem niestworzonych historyi.

— Nie panie — rzekł pan Michał poważnie — to świadek, który pana zaprowadzi do więzienia.

— Mordercol — zawołała Celina podchodząc do niego z płonącym wzrokiem — myślałeś, że ci to ujdzie bezkarnie, bo oskarżycielem twoim była tylko kobieta, lecz zrządzeniem Boskiem wszystko wychodzi na jaw! Chcesz nową ofiarę uwikłać w twoje sieci, ale nie uda ci się, ujrzę cię wreszcie na ławie oskarżonych, gdzie już dawno było twoje miejsce.

Pan Domejko zadrżał, jak gdyby, już usłyszał wyrok.

— Stało się — szepnął — to było moje przeznaczenie!

— Na co jeszcze czekasz judaszu — zawołał z wściekłością, zwracając się do swego oskarżyciela — otrzymałeś już zapewne nagrodę, odejdź więc i zostaw mnie w spokoju.

— Nic jeszcze nie otrzymałem — jęknął nieznajomy cofając się z przestrachem — a mówiłem, że nam przeszkodzą, cóż teraz będzie ze mną?

— Za trzy dni zgłosisz się pan do mego biura i otrzymasz przyrzeczoną sumę — rzekł pan Michał.

— Przyrzeczenia adwokackie — mruknął nieznajomy.

— Milcz pan i zrób jak powiedziałem — krzyknął pan Michał.

Po odejściu nieznajomego, głuche pomiędzy pozostałymi zapanowało milczenie. Pan Domejko stał blady, na wszystko zda się przygotowany, Celina nieruchoma utkwiła oczy w ziemię, a pan Michał patrzał pilnie na nią.

— Cóż dalej będzie — zaczął po chwili — winowajca przyznaje się, ta sprawa należy do ciebie, cóżeś postanowiła?

Wzrok Celiny zatrzymał się na zgnębionej postaci oskarżonego. Po za nim widziała matkę gminną, prostaczkę, lecz żywą, wielką w swej boleści! Widziała ją płaczącą, zrozpaczoną, przeklinającą oskarżycielkę. Matka, święte słowo! cios wymierzony w syna, trafi w serce matki. Ach ona matki nie znała! Lecz znała ojca najlepszego, do dziś cieszyłaby się nim. Został jej wydarty przez tego oto człowieka — i ona nad nim się lituje!

Przystąpiła bliżej z płonącym wzrokiem, otworzyła usta, lecz zaschły język odmówił jej posłuszeństwa.

— Nie sil się pani, wiem co chcesz powiedzieć zawołał Domejko z gorzkim uśmiechem — do więzienia z nim wszak prawda? Biada temu, kto oczekuje miłosierdzia od kobiety!

— Mój ojciec — szepnęła, zakrywając twarz rękami.

— Oddałbym resztę mego życia, aby ten czyn z niego wymazać — odparł powoli z akcentem prawdy. — W uniesieniu to zrobiłem, widzę ciągle przed sobą nieszczęsnego starca! Bieda przywiodła mnie do tego — dodał ponuro — chciałem używać, a nie miałem za co. O łatwo być cnotliwym z pełną kieszenią! I ja byłbym się poprawił dostawszy Helenkę, ale w pobliżu czuwał nademną wróg nieprzejednany, energią swej woli skłoniła tego nędznika do zdradzenia mnie. Opłacałem ja mu się dobrze, ale wreszcie nie stało pieniędzy, do tego Helenka odmówiła mi, pomyślałem sobie, niech się dzieje co chce! Lecz wkrótce dawna energia powróciła, pospieszyłem do Helenki, chciałem odszukać tego padalca, nie udało mi się! Ha Nemezis — ukrył twarz w dłoniach.

— Celino namyśl się — zagadnął pan Michał zbliżając się do żony — wkrótce nadejdzie Helenka, ona nie powinna go więcej widzieć.

Na twarzy młodej kobiety malowała się bolesna walka. O z jakąż rozkoszą krzyknęłaby: Bierz go, prowadź do więzienia! lecz głos jakiś szeptał jej: A matka jego, a siostry! Młody jest, poprawić się może! Spojrzała na jego twarz ponurą, nacechowaną wyrazem bezsilnej złości.

— On i poprawa! — uśmiechnęła się z goryczą. A jednak cóż powiedział Chrystus? „Odpuszczone są ci grzechy twoje". On wierzył w ludzkość i wierzył w szlachetność duszy każdej jednostki.

A więc ma mu przebaczyć? ma poniechać zemsty, na którą tak długo czekała? To nie może być! zakryła twarz rękami i padając na krzesło myślała z rozpaczą:

— Ta walka jest nad moje siły, kto stanie przy mnie, kto mi powie co mam robić, kogo mam się pytać, u kogo szukać porady?

A głos wewnętrzny szeptał jej:

— U Boga, u Tego, który w najsroższej męce mówił: „Panie, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią".

Opuściła ręce, a zbladłe jej usta szepnęły:

— Przebaczam, idź w pokoju!

Pan Michał odetchnął!

— Tego się spodziewałem — rzekł z głębokiem rozradowaniem. — A teraz do ciebie paniczu! Czy słyszałeś co powiedziała ta, której największą krzywdę wyrządziłeś? Przebacza i zemstę oddaje Bogu, ja jednak kładę jeden warunek. Oto porzucisz Europę i w innej części świata zaczniesz lepsze jak się spodziewam życie. Aby ci jednak nigdy nie przyszła chętka powrotu, zrobisz pisemne zeznanie zbrodni i złożysz je w moje ręce i to natychmiast.

— Wygnany, sponiewierany, złamany przez jedną kobietę — zawołał Domejko patrząc z nienawiścią na Celinę.

— Nie zapomnij — odparł pan Michał marszcząc brwi — że jej zawdzięczasz, iż nie siedzisz na ławie oskarżonych, a teraz...

— Idę już, idę i oby przekleństwo moje spadło na was!

Pan Michał odebrawszy napisane zeznanie rzekł:

Odejdź i niech cię oczy nasze nie widzą.

— Odchodzę, ale pamiętaj — dodał z wściekłością obracając się do Celiny — że karta może się odwrócić, dziś zwyciężyłaś ty, jutro do mnie należy, a wówczas...

— Nędzniku — pan Michał porwał się z krzesła, lecz już go nie było, z szatańskim śmiechem zatrzasnął furtkę za sobą.

Pan Michał przystąpił do żony i rzekł z pokorą:

— Cesiu przebacz, tak jak przebaczyłaś temu nieszczęśnikowi! i ja zgrzeszyłem przeciw tobie, lecz któż mógł się podobnego spodziewać.

— Tak — odrzekła młoda kobieta patrząc nań z powagą — więcej ufałeś jemu niż mnie, mówiłam ci, że to zbrodniarz, lecz, że nie miałam namacalnych dowodów, zamiast mi pomódz, uchyliłeś się od wszystkiego, zarzucając mi oszczerstwo.

— Przebacz — powtórzył — powinienem był zastanowić się głębiej nad twemi słowami, ale my adwokaci przyzwyczajeni jesteśmy do ostrożności, gołosłowne oskarżenie nie wzbudza zaufania.

Milczała ze spuszczoną głową, usiadł przy niej i rzekł biorąc jej rękę:

— Przebacz również moje gniewy, moją zawziętość, lecz już sił nie miałem do tej walki z cieniem. Gdy cię trzymałem w objęciach, czułem, ciało tylko twoje było przy mnie, a dusza, ta czysta i piękna, energiczna i łagodna, błądziła gdzieś w zaświatach, lub szukała tropu zbrodniarzy. Ginąłem z tęsknoty za tą psychą twoją, chciałem cię posiadać cały niepodzielnie, a nie znałem sposobu. Wszystko mi obrzydło, wołałem usnąć się! Miłość to jednak była ta sama, która mnie popchnęła do szukania ciebie i wywalczenia sobie na własność.

Spojrzała na niego.

— W ostatnich miesiącach byłeś tak obojętnym — odparła z cicha — że prawie nie wierzę abyś i wówczas mnie kochał. Uchodzisz za niestałego, a ja...

Pan Michał zaśmiał się, a obejmując ją zawołał:

— A więc i moja pani jest troszkę, troszeczkę zazdrosną.

Odsunęła się obrażona i rzekła stanowczym tonem:

— Nie dam się zbyć żartami, musisz mnie zapewnić słowem uczciwego człowieka, że...

— Że co — pytał pan Michał z rozpromienioną twarzą.

— Że — zająknęła się — że byłeś mi wiernym.

Pan Michał pochwycił ją w objęcia.

Teraz mi się nie wymkniesz — mówił ze śmiechem. — Oj kobieto, kobieto — rzekł patrząc na nią — jabym ci mógł być niewiernym, ja który dla żadnej innej prócz ciebie oczu nie mam? Ależ w tych bezsennych nocach, tylko twoje imię miałem na ustach, z niem budziłem się i z niem zasypiałem. Wierzysz mi — dodał z głęboką powagą.

— Wierzę — szepnęła pochylając głowę na jego ramię.

— Moja już na zawsze, wszak prawda? — rzekł przyciskając ją do siebie.

— Twoja — odparła cichutko.

* * *

Pan Michał dłuższy czas jeszcze, obawiał się mimowoli jakiejś zemsty ze strony człowieka, który tylko dzięki jej wspaniałomyślności nie gnił w więzieniu. Mówił sobie z trwogą, że całe morze nienawiści musi być w sercu zbrodniarza, ukaranego tak dotkliwie. A cała ta nienawiść może kiedyś uderzyć w pierś najdroższą dla niego. Tembardziej niepokoił się, że nic o nim nie słyszał, zginął jak gdyby w wodę wpadł. Aż raz wyczytał w gazecie, że: Znany przyrodnik-lekarz, który z miłości do nauki opuścił kraj, szukając nowych odkryć w innych częściach świata, zginął w potyczce z dzikimi, w jednej z ekspedycyi do Środkowej Afryki.

KONIEC.

Kronika tygodniowa

Wojna przewróciła u nas porządek społeczny do góry nogami, jak to zauważyć można w każdej dziedzinie życia. Pisma nasze, mające pretensyę uchodzić za poważne, rozmaite sprawy traktują ze stanowiska humorystycznego, humorystyczne natomiast, poruszają niejednokrotnie kwestye bardzo seryo, zasługujące na głębszą uwagę.

Otóż zdarzyło się nam spotkać niedawno w jednem z pism humorystycznych artykulik, opowiadający o tem, jak to pewien ojciec wpadł w szewską pasyę i sprawił suchą a gorącą łaźnię swojemu pierworodnemu synowi, który przyniósł świadectwo celujące i oświadczył kategorycznie, że szczytem jego marzeń jest oddanie się pracy ściśle naukowej i osiągnięcie kiedyś stanowiska naprzykład kustosza Muzeum Narodowego lub Czartoryskich. Na pozór mogłoby się wydawać, że rodzic nie miał racyi i że działał pod wpływem jakiegoś chwilowego rozdrażnienia, po głębszej jednak rozwadze dojść się musi do przekonania, że słuszność była w całości po jego stronie. Starając się o zapewnienie znośnej przyszłości swemu potomkowi, nie mógł pozwolić na to, aby on samochcąc skazywał się na powolną śmierć głodową, lub spędzenie ostatnich dni życia w przytułku dla ubogich.

Rozsierdzony ojciec miał widocznie żywo przed oczyma smutny los, jaki stał się udziałem niedawno śp. E. Goldsteina, kustosza Muzeum Narodowego i jego dobrodzieja, ostatnio zaś śp. B Biskupskiego, kustosza Muzeum ks. Czartoryskich. Pierwszy z nich, który całe swe życie i majątek poświęcił na zbieranie dzieł sztuki, a plony swej pracy ofiarował Muzeum Narodowemu w Krakowie w zamian za skromne stanowisko kustosza, mające mu zapewnić egzystencyę na stare lata, zmarł w nędzy w paryskim przytułku św. Kazimierza zapomniany przez wszystkich, drugi dogorywał powoli, po czterdziestu dwu latach ciężkiej i sumiennej pracy odsunięty od umiłowanego zawodu, któremu mógł jeszcze dalej służyć, obdarzony „na odczepne“ hojną emeryturą w kwocie tysiąc dwieście marek miesięcznie. Suma ta na dzisiejsze stosunki śmiesznie mała, nie uchroniła posiadającego ją od głodowej śmierci. Człowiek, kochający ludzi i wierzący im ślepo, zeszedł z tego świata zniechęcony i rozgoryczony do wszystkich, a najbardziej do tych, którzy przez blisko pół wieku korzystali z jego usług, a potem odrzucili go w brutalny sposób, jak sprzęt nie nadający się już do użytku i nie zapewnili bytu na ostatnie lata życia.

Praca w takich warunkach i z nadzieją tak miłego spędzenia ostatnich chwil zasłużonego żywota, nie jest chyba zbyt zachęcającą i miał racyę ów ojciec, który w drastyczny ale przekonywujący sposób starał się wybić synowi z głowy te głupie mrzonki, mogące go tylko unieszczęśliwić i obrzydzić całe życie, robiąc go ciężarem tak dla siebie jak i dla otoczenia.

W zupełnem przeciwieństwie do tego stoi fakt, na pozór odmienny, ale mający wiele stycznych z poprzednim.

Na ulicy spotkało się dwu znajomych, jeden z nich majster szewski, zatem człowiek zasobny, drugi także nie biedak, choć nie mający żadnego bliżej określonego zawodu, ot, taki sobie „ptak niebieski, który ani orze ani sieje, a przecież zbiera“. Po chwili przeszedł koło nich jakiś chudzina w wytartym surducie i wykrzywionych butach, którego wygląd zewnętrzny nie świadczył bynajmniej o dobrobycie. Przechodzącego powitał mistrz sławetnego kunsztu szewskiego bardzo czołobitnym ukłonem, co widocznie zaciekawiło jego towarzysza, gdyż zapytał:

— A któż to taki?...

— To człowiek, któremu mam do zawdzięczenia mój dzisiejszy dobrobyt. — odpowiedział zagadnięty. Gdyby nie on byłbym z pewnością zeszedł na psy, tak jak tylu moich kolegów, którzy pokończyli gimnazyum i dziś klepią biedę, a niejeden z nich serdecznie mi zazdrości.

— Któż to zatem taki?... — badał dalej znajomy.

— To profesor, który mi dał w pierwszej klasie dwóję z łaciny, a ojciec, nie mając na to, bym powtarzał klasę, oddał mnie do szewca na praktykę. Sądził biedaczysko, że mnie w ten sposób ukarze, a ja sam byłem początkowo tego samego zdania. Dziś dopiero widzę, jakie mi swą stanowczością wyświadczył nieocenione dobrodziejstwo, a dla tego profesora, który się bezpośrednio do tego przyczynił, żywię dozgonną wdzięczność... Trzeba mu będzie posłać w prezencie parę kamaszków, bo te, które miał na nogach, jak zauważyłem, lada dzień wypowiedzą mu posłuszeństwo. Czemże bowiem byłbym dziś, gdyby nie jego dwója?... Takim samym budzącym politowanie nędzarzem, jak on i tylu moich kolegów, którym zdawało się, że sobią świetną karyerę kończąc gimnazyum i uniwersytet, a potem obierając karyerę urzędniczą. Patrzyli na mnie z pogardą, jak na jakiego wyrzutka społeczeństwa, dziś jednak niejeden z pewnością zazdrości mi w duchu, tak jak ja jemu w mych młodych latach, gdy jeszcze nie miałem rozumu.

Czyż między słowami owego szewca, a czynem ojca, który synowi wybijał z głowy mrzonki o karyerze naukowej nie zachodzi dziwna, ale smutna analogia? Obaj oni stwierdzają, że praca na polu naukowem dziś bynajmniej nie popłaca i że bez rewolucyi bolszewickiej inteligencya umysłowo pracująca zepchniętą została na plan drugi, gdy natomiast na pierwszy wybiły się sfery, pracujące fizycznie.

Praca fizyczna jest dziś zupełnie inaczej uważaną i wynagradzaną, jak umysłowa, która straciła zupełnie na swej wartości, lekceważy się ją na każdym kroku, uważając za złe, bez którego można byłoby się obejść zupełnie dobrze. Widzimy to, porównując ze sobą dochody dajmy na to szewca, i to bynajmniej nie pierwszorzędnej firmy, ale tak zwanego dawniej „łatacza“ z poborami profesora uniwersytetu, który całe swe życie poświęcił nauce, lub choćby kustosza Muzeum Czartoryskich, obdarowanego łaskawie po czterdziestu dwu latach ciężkich wysiłków emeryturą w kwocie tysiąc dwieście marek miesięcznie!... Otrzymawszy na pierwszego podobne kapitały, dobrze sobie trzeba nałamać głowę, jak ułożyć budżet domowy, aby mogło starczyć na wszystko. Z zestawienia przekonuje się taki nieszczęśliwiec, że obiad może najwyżej zjeść raz w tygodniu, codziennie natomiast może sobie pozwolić na szklaneczkę herbaty (o ile ją naturalnie będzie miał przy czem ugotować...) bez cukru a nawet sacharyny. O leczeniu się na wypadek choroby, ani mowy być nie może, również o sprawieniu sobie jakiejś garderoby, gdy za podzelowanie butów i to dając skórę zapłacić trzeba około pięćset marek. Prawdziwem wybawieniem z takiego życia jest śmierć. Nieboszczyka nie boli już o to głowa, kto i za co go pochowa, płacącym emeryturę spada zaś z budżetu ciężar, iż „niepotrzebnie“ wydają miesięcznie tysiąc dwieście marek.

W takich warunkach coraz szersze warstwy zaczną się garnąć do pracy fizycznej, jako bardziej popłatnej praca naukowa straci kompletnie swoją wartość i znaczenie, człowieka zaś, który mimo to chciałby się jej poświęcić, uważać się będzie za nieuleczalnego waryata i aby się pozbyć kłopotu, osadzi się go zawczasu w zakładzie dla umysłowo chorych.

Niechaj zatem rodzice, którym los dzieci leży na sercu, postępują tak jak ów doprowadzony do pasyi szewskiej ojciec, a kiedyś doczekają się pociechy, że ich synom będą się wszyscy kłaniać, jako jaśnie wielmożnym panom krawcom, szewcom, rzeźnikom lub piekarzom, a nie oni innym. Mówi się i pisze się o dyktaturze proletaryatu, a ma się ją koło siebie i to z dnia na dzień wzrastającą w siłę i potęgę. Niepotrzebnie bolszewicy przeznaczyli na agitacyę przewrotową w Polsce ośmdziesiąt milionów rubli, bo i bez tej ich „zapomogi“ widzimy już przewrót społeczny na każdym kroku.

Z dnia na dzień rosną wynagrodzenia ludzi pracujących fizycznie i dochodzą takich kwot, które poprostu przyprawiają o zawrót głowy, w ślad zaś zatem idzie i rosnąca coraz bardziej drożyzna, producent bowiem musi także odpowiednio podnieść cenę swych wyrobów lub produktów, aby opędzić koszta. Wystarczy zaznaczyć, że naprzykład węgle od stycznia do lipca b. r. podrożały o trzysta procent z tego właśnie powodu, iż górnikom, zajętym przy ich wydobywaniu kilkakrotnie podwyższano płacę. To podrożenie wpłynęło na podniesienie cen wszystkich innych artykułów, w rezultacie nadwyżkę tę pokrył ten, który najmniej posiada, to jest konsument. Ponieważ zaś inteligencya, pracująca umysłowo, nie nauczyła się jeszcze obchodzić się bez wszystkiego i musi zaspakajać choćby tylko najnieodzowniejsze swe potrzeby, podwyżki te odbiły się głównie na niej. Prawda, że i im podniesione wynagrodzenia i płace, ale bynajmniej nie w takim stosunku, aby odpowiadał podrożeniu artykułów codziennego użycia, bez których obejść się trudno. Podwyżką, jaką uzyskali, cieszyli się o tyle, że w miesiącu mogli sobie pozwolić na jakiś nadzwyczajny wydatek, dajmy na to na zjedzenie mięsnego obiadu nie raz w dwa tygodnie, ale raz na tydzień.

Zestawmy teraz budżet miesięczny wiekowego, złożonego chorobą inteligenta, pobierającego aż tysiąc dwieście marek miesięcznej emerytury, a nie posiadającego żadnych oszczędności z dawnych lepszych czasów. Jeśli zapłacił czynsz za mieszkanie i kupił cztery bochenki chleba po dwieście czterdzieści marek, z miesięcznej gaży zostało mu zaledwie na nabycie pudełka zapałek (sześć marek), brakło natomiast choćby tylko na jeden jedyny litr mleka w miesiącu, gdyż dziś trzeba zań zapłacić siedmdziesiąt marek. A chyba kawałek dachu nad głową, cztery bochenki chleba i pudełko zapałek nie wystarczą dla człowieka choćby nawet był zdrów i umiał ograniczać do *minimum* swe potrzeby. S. p. Biskupski był zaś człowiekiem chorym, potrzebującym wygód, ratował się też do czasu wysprzedawaniem swej cennej a mozolnie zebranej prywatnej biblioteki, co jednak nie mogło trwać zbyt długo. Przed starcem stanęły widma głodu i niedostatku i one go ukołysały na sen wieczny, który mu pozwolił zapomnieć o dolegliwościach doczesnego żywota i ludzkiej niewdzięczności.

Zupełnie inaczej przedstawia się życie szewca, choćby tylko „łatacza“, pobierającego za przybicie podeszew z dostarczonej mu skóry, co go kosztuje około kwadrans czasu, a niechby nawet i pół godziny, pięćset marek. To też pan majster dziękuje gorąco Panu Bogu, że nie pozwolił mu szukać szczęścia w spinaniu się po kruchych szczeblach drabiny urzędniczej, lub równi pochyłej naukowej pracy, ale dał mu wygodny stołek przy warsztacie szewskim, tak piękne dochody przynoszącym. Pan majster jada też codziennie mięsny obiad, ma kawę i bułeczki rano i w południe, rodzina jego uczęszcza bodaj raz w tydzień do teatru lub kina, on sam co wieczór na piwo lub miodek, gdy natomiast umysłowo pracujący inteligent jada obiady z głodnej kuchni po dziesięć marek, pija wodę o ile wodociąg nie zawiedzie, a zamiast teatru ma w domu sceny małżeńskie, urządzane bezpłatnie przez magnifikę, nie mogącą sobie darować, że wyszła za niego i musi biedę klepać, gdy natomiast jako żona szewca, krawca lub rzeźnika, byłaby jasną panią, nie potrzebującą się liczyć z groszem.

Wystarczy zajrzeć do którejś z tak zwanych pierwszorzędnych knajpek (w Krakowie są obecnie wszystkie pierwszorzędne...), aby się przekonać o tej zmianie stosunków. Z dawnych gości ani śladu, miejsce ich zajęli *homines novi*, paskarze i dorobkiewicze wojenni, dla których nie było tam wstępu lat temu jeszcze ośm wstecz. Dziś nie spotka tam inteligenta pracującego umysłowo, aby „wpadł na wódeczkę“, chyba, że zaprosił go jaki znajomy paskarz lub szewc, wdzięczny za dwójkę otrzymaną w klasie pierwszej gimnazyalnej, gdyż skierowała go w sam czas na praktyczną drogę żywota.

W tych warunkach i socyalizm, mający za zadanie walkę o poprawę bytu klas pracujących fizycznie, stracił też racyę bytu. Przejedzają się zatem szeregi towarzyszów, jak to stwierdził na kongresie socyalistycznym w Łodzi z ubolewaniem ober-towarzysz Daszyński. Byli towarzysze awansują na burżujów i bardzo im to przypada do smaku, miejsce ich zająć powinni inteligenci, aby wspólnemi siłami wywalczyć sobie bodaj jaką taką egzystencyę i uchronić się od nędzy, a może i śmierci głodowej. Ale inteligenty nie umieją jakoś stanąć zgodnie ramię przy ramieniu, choć tu się rozchodzi o sprawę tak żywotną, nie może się też znaleść nikt, kto potrafiłby ich w tym kierunku odpowiednio zorganizować i zespolić do jednolitej akcyi. Gromada to wielki mąż, ostatecznie pokazałoby się, że i bez nich obejść się trudno, a świat nauczyłby się odpowiednio ich cenić i szanować. Chodzenie luzem lub grupami, spodziewanego celu nigdy nie osiągnie, ta podwyżka, jaką otrzymują dzięki tym staraniom, nie będzie zupełnie odpowiadać ich wzmożonym potrzebom, ale będzie nosić stale charakter jakiegoś odczepnego rzuconego z łaski, aby się pozbyć natrętów.

Takiego galimatyasu narobiła nam wojna i jej „dobroczynne“ skutki. Świat przewrócił się do góry nogami a tego chyba nie pragnęli ci, którzy ją wywołali. Ale i oni sami wyszli na tem najgorzej i dziś z pewnością serdecznie im żal, że zawczasu nie przewidzieli fatalnych następstw. Ex cesarz Wilhelm ma chyba w Doorn dość czasu do rozmyślań, jak to czasem „Fortuna kołem się toczy“, ale nie po myśli tego, który ją w ruch wprawił. Austryacki Karolek nad tem nie rozmyśla, sam zajęty przyjemnościami tego żywota, funkcye te zostawił swojej żonie i ta myśli za siebie i za niego, ale bardzo po kobiecemu. Naprawą stosunków przez koronowane głowy wywołanych, zajęli się zwykli śmiertelnicy, jak naprzykład Lloyd George Lenin i td., ale i im idzie to bardzo opakiem. Ani rusz wepchnąć to życie na dawne tory, z których się wykoleiło.

W sprawie tej kończy *Gazeta Rybnicka* następującym apelem:

„Tak, Niemcy gotowi są zniszczyć wszystko, żebyśmy jako nędzarze weszli do Polski. Uliczka i Hoefer są inicyatorami wszystkich takich zbrodni. Lud polski znajduje się pomimo przyrzeczeń Komisyi Koalicyjnej w wielkiem niebezpieczeństwie. Władzom polskim ciągle jeszcze wiąże się ręce. Wobec tego, lud polski, w trosce o swoje dobra, przypomina ponownie Komisyi Koalicyjnej, że nie kompromisy, ani żadne względy na barbarzyńców pruskich przyniosą nam uspokojenie, jedynie energiczne, szybkie rozstrzygnięcie sprawy górnośląskiej. Oprócz tego upominamy nasze władze, że nigdy łaskawością, ani względami nie ułagodzimy hakatystów. Są oni przyzwyczajeni do ręki silnej i żelaznej. W każdym innym razie lud polski będzie poszkodowany. Panowie, tego co lud polski wywalczył własną krwią, a wam oddał, tego strzeżcie, jak własnego życia!

Straszne zdarzenie w Rybniku niech będzie przestrogą dla całego Górnego Śląska i pobudzi wszystkich Polaków do większej jeszcze czujności.

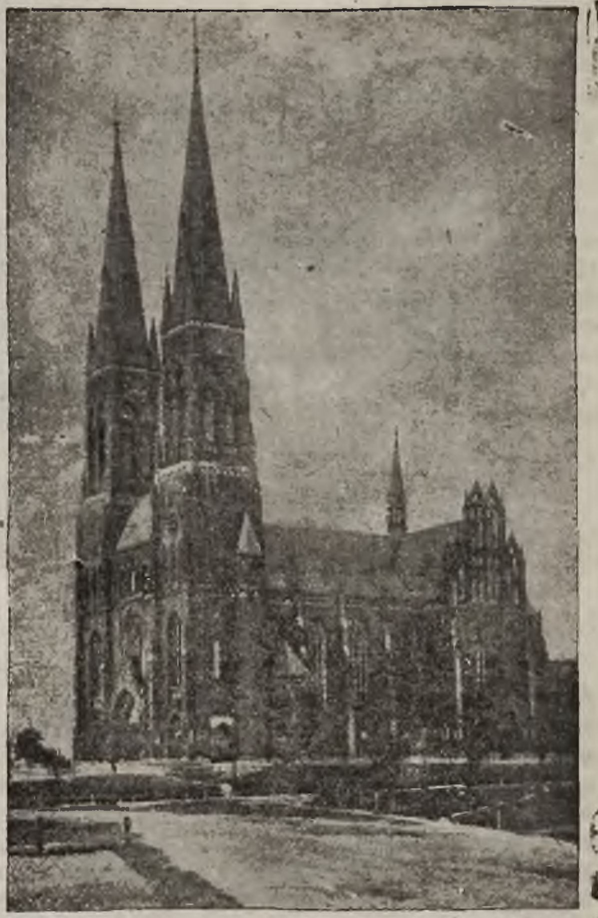
Na szańce Rodacy! Wróg zgotować nam chce zgubę!

Chór Narodowy im. F. Nowowiejskiego w Poznaniu.

Jednym z najpotężniejszych zespołów śpiewackich w Polsce jest Chór Narodowy imienia Feliksa Nowowiejskiego, przez niego założony i należycie wyszkolony. Liczy on ponad pięćset członków, a zadaniem jego jest krzewienie w społeczeństwie polskiem zamiłowania do muzyki swojskiej i krzepienie serca i ducha melodyami rodzinnemi, będącemi prawdziwą skarbnicą artystyczną, jakiej mógłby nam pozazdrościć niejeden z narodów, daleko wyżej od nas stojących na polu rozwoju życia artystycznego. Czerpanie z tej skarbnicy i ułatwianie dostępu do niej szerszym sferom, to zasługa profesora Feliksa Nowowiejskiego, który całe swe życie poświęcił umiłowanej przez niego sztuce i wiernej jej służbie. Zgromadził on też w swym zespole śpiewackim przedstawicieli wszystkich klas społecznych, tak pracujących umysłowo, jak i fizycznie. Pieśń polska stała się więc czynnikiem, zacierającym różnice klasowe i przyczyniającym się do zjednoczenia polskiego społeczeństwa, tak tego zjednoczenia potrzebującego.

Nazwisko profesora Feliksa Nowowiejskiego znane jest od lat szeregu w całym kraju, jako znakomitego muzyka i kompozytora, w ostatnich czasach spopularyzowało się zaś jeszcze bardziej przez „Rotę", której melodya jest jego dziełem. Sam znakomity znawca muzyki i wytrawny pedagog, potrafił prof. Nowowiejski zaszczepić zamiłowanie do niej w całych szeregach swych uczniów i uczenic, a podniesienie artystycznej kultury w naszym narodzie, to jedyny cel jego życia. Na owocną jego działalność patrzyliśmy w Krakowie w czasie, gdy był zajęty w tutejszem Towarzystwie Muzycznem i podziwialiśmy jego zapał, artyzm i starania, których nie szczędził, aby tylko rozruszać nieco Krakowian, dość obojętnych na polu sztuki i uważających ją nie za potrzebę duchową, lecz coś, co ma służyć ku ich rozrywce i rozweseleniu po ciężkich trudach codziennego życia. Niedługo pracował między nami, a przecież skutki jego pracy były aż nazbyt widoczne i z żalem żegnał go Kraków artystyczny, gdy opuszczał mury podwawelskiego grodu, aby się przenieść w swe rodzinne strony, gdzie widział dla siebie odpowiedniejsze pole do rozwinięcia działalności w takim zakresie, jakiego pragnęła jego nawskróś artystyczna dusza.

Narodowy Chór poznański to jego dzieło. Ma on pod skrzydłami pieśni polskiej zjednoczyć naród polski i rozbudzić w nim prawdziwe zamiłowanie do sztuki, pojętej seryo. Że mu się to udało, świadczy rozwój tego śpiewackiego zrzeszenia i uznanie, jakie sobie potrafiło zdobyć w stosunkowo niedługim czasie swego istnienia. Działa on na słuchacza nie tylko swą siłą, licząc ponad pięćset członków, ale i znakomitem wyszkoleniem i doborem głosów, mogącem zmierzyć się z zagranicznemi towarzystwami śpiewackiemi, tak szeroko i głośno reklamowanemi w całym świecie. Chór Narodowy sztucznej reklamy nie potrzebuje, jego popisy dotychczasowe wyrobiły mu już należyte uznanie w najszerszych kołach melomanów, a sposobności do tego nie brakło, występował bowiem nie tylko na estradzie koncertowej, ale brał zawsze chętny udział, o ile rozchodziło się o uświetnienie narodowych manifestacyi pod gołem niebem, jak obchody Konstytucyi Trzeciego Maja, 26 grudnia, górnośląski itd.



Zbrodniczy zamach Wszechniemców w Rybniku: Kościół św. Antoniego uszkodzony poważnie podczas wybuchu.



Chór Narodowy im. F. Nowowiejskiego w Poznaniu: Członkowie najliczniejszego w Polsce zespołu śpiewackiego.

Polityczne podróże górnośląskiej Komisyi koalicyjnej.

Przed ostatecznem załatwieniem sprawy górnośląskiej, które naznaczone było na koniec lipca, a obecnie uległo znowu odwłoce, dopóki międzysojuszniczy rzeczoznawcy nie wydadzą swej fachowej opinii, odbyli kierownicy międzynarodowej Komisyi dla Górnego Śląska polityczną podróż po obszarach plebiscytowych. W podróży tej wzięli udział prezes Komisyi, jenerał francuski Le Rond, delegat angielski H. Stuart i włoski jenerał Marinis. Celem ich podróży zbadanie na miejscu panujących stosunków, o ile te naturalnie można poznać z okien wagonu kolejowego, lub w automobilu, posuwającym się z chyżością ośmdziesięciu kilometrów na godzinę.

Stanowisko przewodniczącego Komisyi jenerała Le Ronda było zawsze ściśle objektywne, a zachowanie się jego względem obu narodowości kraj ten zamieszkujących, najzupełniej poprawne, co się Niemcom bardzo nie podobało. Zbierając na każdym kroku dowody sympatyi i życzliwości ze strony przedstawicieli Anglii i Włoch, bezstronność jenerała Le Ronda, nazywali stale faworyzowaniem Polaków i dokładali wszelkich starań, aby go zastąpić kimś innym, dla nich bardziej wygodnym. Dążenia te niemieckie popierała jawnie i skrycie przy użyciu różnych dyplomatycznych intryg Anglia, ostatecznie przecież jenerał Le Rond utrzymał się na swem stanowisku i pozostanie na niem niezawodnie aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy, które zapowie





Polityczne podróże górnośląskiej Komisyi koalicyjnej: 1. Powitanie członków Komisyi na dworcu rybnickim. 2. Wręczenie bukietów członkom Komisyi przez dzieci polskie w Rybniku, przybyłe na powitanie pod przewodnictwem p. Botorowej.



Polityczne podróże Komisyi koalicyjnej: 1. Szpalery ludności polskiej przed dworcem kolejowym w Rybniku. 2. Wojsko francuskie na dworcu kolejowym w Rybniku w dniu przybycia Komisyi.

dziane jest na początek sierpnia, ale z zastrzeżeniem... o ile rzeczoznawcy będą mieli czas ukończyć swe prace. Ci panowie, którzy sprawę górnośląską znają z opisu i przedstawień różnych interesowanych osób, nie mieli jednak sposobności poznać stosunków tamtejszych gruntownie i wżyć się w nie, mają wydać swe orzeczenie z politycznego ekonomicznego i etnograficznego punktu widzenia, a ono ma się stać dyrektywą dla Rady Najwyższej przy wydaniu ostatecznego wyroku. Sprawa górnośląska jest zatem w tych warunkach na bardzo śliskiej drodze i możemy być przygotowani, że nas czeka z tego powodu niejedna niespodzianka i to nie zbyt miła. Decydowanie o sprawie tak ważnej przy zielonym stoliku i jedynie na podstawie opinii „fachowców", w takim guście, jak owi, którzy badali sprawę górnośląską, nie prowadzi do celu i wydaje się żyć komedyą, z góry już postanowionym wynikiem, a obliczoną jedynie na mydlenie oczu łatwowiernym, bo tu nie wchodzi w grę interes, ale poszanowanie prawa i postanowień traktatu wersalskiego. Jak z ostatnich telegramów wynika, stanowisko Francyi wobec sprawy górnośląskiej jest już tak rażąco różniące się od zapatrywań sojuszników, co kazałoby się spodziewać, że i tym razem Niemcy wyjdą obronną ręką, gdyż tak każą względy polityczne, a nam w drodze łaski dostanie się jakieś odczepne.

I owe podróże polityczne członków Komisyi nie osiągają też swego celu. Nie mają oni sposobności zetknąć się bezpośrednio z miejscowym ludem, którego się do nich nie dopuszcza. nie mogą też poznać dokładnie jego żądań i bólów.

W drugiej połowie lipca b. r. zajechali do Rybnika specyalnym pociągiem prezydent Komisyi międzysojuszniczej, jen. Le Rond, jakoteż panowie Sir Harald Stuart i jen. de Marinis. Polska ludność wystąpiła wobec trzech przedstawicieli Komisyi międzysojuszniczej z wielkiemi owacyami. Wszelkie załogi kopalniane wysłały deputacye z chorągwiami, częściowo z kapelą muzyczną. Było około sześćdziesiąt chorągwi. W pobliżu dworca zebrało się mniej-więcej 10—12000 ludzi. Muzyka grała naprzemian francuski, angielski i polski hymn narodowy. Po złożeniu zwykłych oznak uszanowania i odbytem przedstawieniu na dworcu, udali się panowie do poczekalni, gdzie odbyła się krótka konferencya. Wśród objawów serdeczności ruszyli panowie w podróż do



Irlandya w dobie rokowań pokojowych: Przywódca Irlandczyków, de Valera, (X) w otoczeniu delegatów sinfeinistów do rokowań z Lloyd'em George'm.

Wodzisławia, gdzie im również urządzono wspaniałe przyjęcie. Te wielkie owacye polskiej ludności przekonywują Komisyę międzysojuszniczą o polskim charakterze Górnego Śląska, nawet w tych miejscowościach, gdzie była rzekoma większość niemiecka.



Irlandya w dobie rokowań pokojowych: Tłumy ludności na Dovning-Street w Londynie chcące widzieć przywódcę sinfeinistów de Valerę, spieszącego na konferencyę z Lloyd'em George'm.

Irlandya w dobie rokowań pokojowych.

Swiat polityczny zajmuje żywo wydarzenie, którego sobie każdy życzył, ale nikt się nie spodziewał, aby mogło przyjść tak nagle i niespodzianie. W Irlandyi zapanował spokój, w Dublinie i Londynie toczą się rokowania nad ustaleniem stosunku tego nieszczęsnego kraju do Anglii. Dotychczasowa polityka irlandzka Lloyda George uległa gwałtownej zmianie, ustępstwo jego uznane być musi za jego porażkę na całej linii.

Dziwny widok przedstawiał Dublin w drugiej połowie lipca b. r. Na ulicach spotykano w miłej zgodzie żołnierzy angielskich z powstańcami irlandzkimi, jenerała Macready, który po raz pierwszy pojawił się na ulicach miasta bez eskorty, przyjmowano radosnymi okrzykami, przed ratuszem tłum ludzi modlących się o pomyślny wynik rokowań, toczących się tamże między przywódcami powstańców irlandzkich, a delegatami południowo-irlandzkich unionistów.

Dziwniej jednak przedstawiała się w tym czasie ulica Downing Street w Londynie. Po raz pierwszy bez wkroczenia policyi, przed siedzibą angielskiego premiera powiewają chorągwie wolnej Irlandyi w rękach tłumu, śpiewającego pieśni irlandzkie, przed

ohydną barykadą drewnianą, od tylu miesięcy zamykającą wylot tej ulicy ku Whitehall, wpuszczają setki ludzi, a ci znów klękają i modlą się. Bo tam, w tym historycznym domu pod nr. 10. de Vallera naradza się z Lloydem George'm.

Lloyd George uznał, że polityka jego wobec Irlandyi, która dla obu stron miała tak fatalne skutki była błędną i dla ratowania sytuacyi, stającej się z dnia na dzień coraz groźniejszą rozpoczął z de Valerą, jako przedstawicielem większości ludu południowej Irlandyi rokowania, które uzależniał pierwotnie od uprzedniego bezwarunkowego rozbrojenia się sinfeinistów. Stało się zatem to, co stać się mogło lat temu dwa wstecz, a co nie byłoby kosztowało obie walczące strony tyle krwi i łez.

To skierowanie sprawy irlandzkiej na nowe tory nie jest bynajmniej zasługą Lloyda George'a, który do podjęcia rokowań z de Valerą został poprostu zmuszony przez konferencyę premierów angielskich dominiów, z których wolą musiał się liczyć. Dominia: Kanada, Australia, Nowa Zelandya i Afryka Południowa, których przyszły stosunek do Anglii musi być ustalony na tej konferencyi premierów, przed załatwieniem sprawy irlandzkiej w te układy nie chciały się wdawać, bo uznają prawa Irlandyi równe swoim własnym. Poza tym ideowym motywem mają jeszcze motyw praktyczny w dążeniu do ustalenia nienaruszalnej na zawsze przyjaźni imperyum brytyjskiego z Ameryką, która również żąda zaspokojenia Irlandyi. Dlatego nie kto inny tylko jen. Smuts, premier południowo-afrykański, jeździł do Dublina, by wdrożyć u de Valery te nowe układy



Podbój powietrza: Zdobywca nagrody Peugeot'a francuski inżynier Gabryel Poulain na swym rowerze napowietrznym.

a kiedy de Valera zażądał konferencyi bez żadnych warunków Lloyda George'a, a więc na warunkach swoich własnych, chcąc nie chcąc premier angielski musiał się poddać takiemu ultimatum, zaprezentowanemu przez Smutsa, poza którym czuł całą swą wagę wszystkich dominiów.

Nawet Lloyd George wie, że Anglia nie może powtórzyć błędu, popełnionego w XVIII stuleciu wobec kolonii amerykańskiej. Jeśli Anglia chce zatrzymać swemu monarsze tytuł króla dominium zamorskich, a utrzymać go musi, bo sama nie chce spaść do rzędu małego państwa wyspiarskiego, tedy musi się też zgodzić, że Irlandyą przestanie rządzić jak krajem podbitym. To jasne najzupełniej. Mniej jasne, jak rozwiązać ten problemat. Już prawie przed dwoma laty lord Northcliffe w „Times'ach" poruszył myśl nadania Irlandyi praw i form ustrojowych dominialnych (Dominion Status) na wzór wielkich samorządnych kolonii. Ale jak wszystko, co istotne w ustroju angielskim, i to nie jest spisane. Dla Irlandyi atoli istnieje skodyfikowany ustrój polityczny i ten trzeba nowym zastąpić. O ile wiadomo, de Valera nie upiera się przy republice niezawisłej i niepodległej. Trudności ustrojowe będzie musiała prawdopodobnie rozwiązać konferencya premierów kolonialnych. Lord Derby w tych dniach na zebraniu publicznem oświadczył gotowość do wszelkich ustępstw wobec Irlandyi, prócz jednego: przyzwolenia na osobną republikę.

Z naszej atletyki.

Nasza atletyka, która może się poszczycić tak wybitnymi przedstawicielami, jak ongi Pytlasiński, a obecnie bracia Cyganiewicze, zbierający w Ameryce oklaski i złoto, zyskuje nową wybitną siłę,



Z naszej atletyki: Wybitny champion polski, Lwowianin Władysław Maksymiak

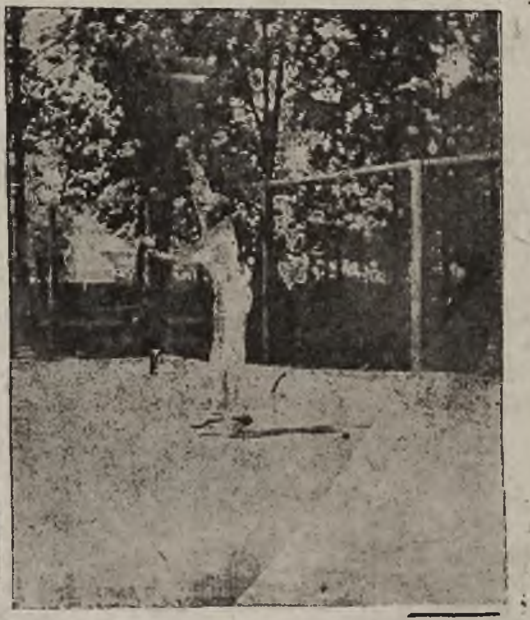
dotąd u nas w kraju mało znaną, bardziej zaś za jego granicami, w osobie Lwowianina, Władysława Maksymiaka.

Przed wojną brał on z powodzeniem udział w zapasach atletycznych w Galicyi i Królestwie Polskiem, imponując już wówczas siłą swych mięśni i wyszkoleniem. Walczył również w różnych krajach Europy, Azyi, Afryki, wybijając się już wówczas na jedno z pierwszych miejsc w dziedzinie atletyki. Wypadki wojenne zagnały go w głąb Rosyi, gdzie święcił w całym szeregu miast prawdziwe tryumfy, zdobywając pierwsze nagrody i podziw dla polskiego atlety, któremu nie mógł sprostać żaden z najbardziej nawet osławionych zagranicznych championów. W tym czasie odwiedził różne miasta Rosyi europejskiej, Kaukazu, Finlandyi, Syberyi i Dalekiego Wschodu. W r. 1917, zdobył mistrzowstwo w Kijowie, w dwa lata potem mistrzowstwo Syberyi i Dalekiego Wschodu w Omsku, pokonując wówczas bardzo łatwo światowej sławy zapaśników, jak Michajłowa, Mamutowa, Cyklopa, murzyna Amalina, Amerykanina Jack Levisa, Turka Adallego, Indusa Saida Kachutę i wielu innych.

Powróciwszy z niewoli rosyjskiej do kraju, bawi obecnie nasz polski champion w Stanisławowie i zamierza w najbliższym już czasie wziąć udział w międzynarodowych zapasach w Polsce, które niezawodnie przyczynią mu nowej sławy i pozwolą naszym kołom sportowym zapoznać się bliżej z jego osobą.

Podbój powietrza.

W poprzednim numerze naszego pisma zamieściliśmy artykuł pod powyższym tytułem, jednakże bez ilustracyi, przedstawiającej nowy rower napowietrzny wynalazku francuskiego inżyniera Poulain. Nie stało się to, jak to można przypuszczać, przez przeoczenie, lecz skutkiem wypadku, jakiemu uległa odnośna klisza cynkowa, przygotowana już do numeru. Pękła ona pod naciskiem walca maszyny, skutkiem fatalnej jakości cynku, za który obecnie płaci się drożej, niż przed wojną za złoto. Na zrobienie nowej czas już nie pozwalał, nie chcąc spowodować spóźnienia numeru, zmuszeni byliśmy pozostawić artykuł bez ilustracyi, tę zaś podajemy dopiero w niniejszym numerze.



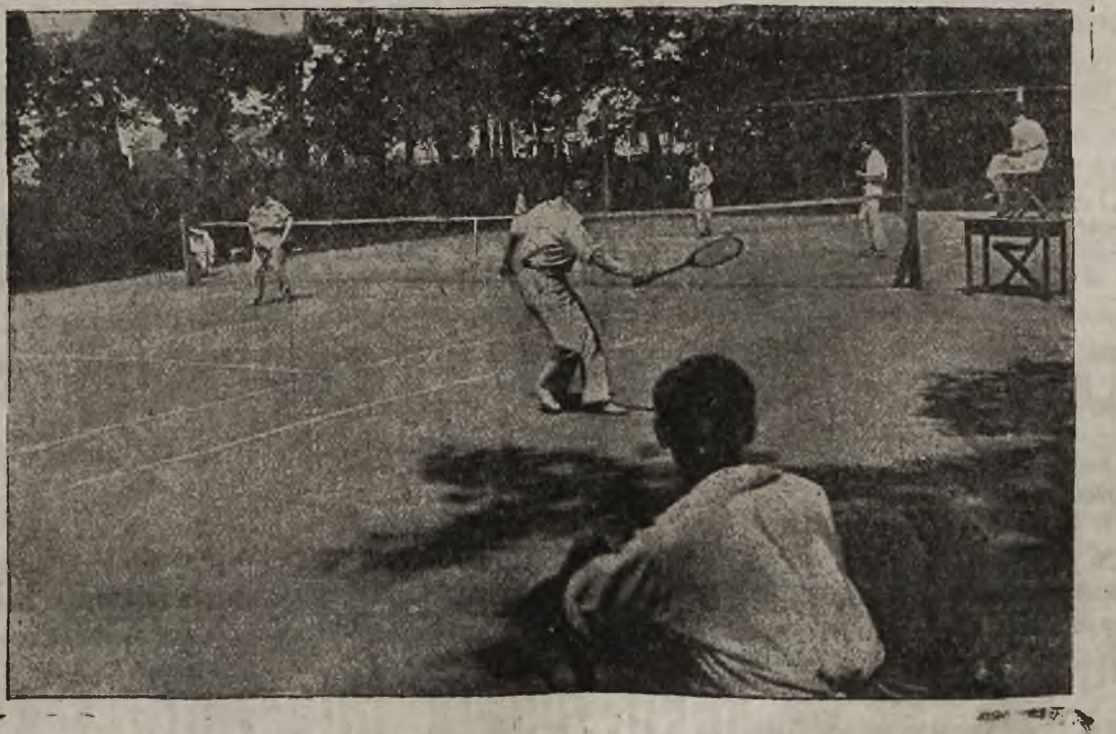
Turniej tennisowy w Krakowie: Jeden z najlepszych graczy p. Jentys podczas rozgrywania zawodów.

Turniej tennisowy w Krakowie.

W dniu 16 lipca br. i dni następnych odbył się turniej tennisowy, urządzony staraniem Sekcyi Tennisowej A. Z. S., gromadząc na placach w Parku Krakowskim, po raz pierwszy po wojnie, liczny zastęp graczy, znanych nie tylko w kraju, lecz także za granicą, jak też juniorów, dla których zmierzenie się (w grze otwartej) z wybitnymi przeciwnikami stanowiło prawdziwą szkołę dobrej gry. Dwa pierwsze dni turnieju poświęcono grze pojedynczej i podwójnej, otwartej (open), zaś następne grze z przeddawaniem (handicap). Zwycięzcą w grze pojedynczej został p. Szwede, drugie miejsce uzyskał p. Potuczek. W grze podwójnej byli zwycięzką parą panowie: Potuczek i dr Weysenhoff.

Z juniorów wymienić należy, jako dobrze się zapowiadających na przyszłość pp.: Prochowskiego, Wildera, Kwiatkowskiego, Broniowskiego, Gólskiego i fenomenalnego młodziutkiego Otta Lieblinga, który w grze z przeddawaniem zdobył pierwsze miejsce.

W pierwszych dniach września odbędzie się w Krakowie turniej okręgowy, na którym ujrzymy licznych gości z Warszawy i Poznania.



Turniej tennisowy w Krakowie: Uczestnicy turnieju.

Od Redakcyi.

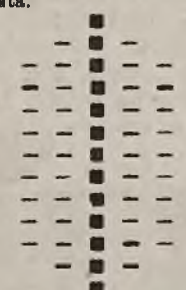
Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. P. Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. — Rząd środkowy, czytany z góry na dół utworzy nazwę władzy, rozstrzygającej obecnie o losach świata.

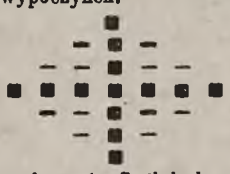


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Dopływ Wisły, 3. Miasto w Królestwie Polskiem, 4. Część budynku, 5 Pałac na Wschodzie, 6. Rodzaj zabezpieczenia, 7. Rodzaj poezyi, 8. Przyrząd sportowy, 9. Malarz polski, 10 Sprzęt kuchenny, 11. Polski pamiętnikarz, 12. Imię żeńskie, 13. Samogłoska.

Kryształówka.

Ułożył W. Kubiel, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, pionowy i poziomy poda nazwę czasu przeznaczonego corocznie na wypoczynek.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Polska rodzina szlachecka, 3. Miejsce święte dla Turków, 4. Szukany wyraz, 5. Imię świętego, 6. Członek najbliższej rodziny, 7. Samogłoska.

Łamigłówka zgłoskowa.

Ułożyła B. Szypulska, Wieliczka.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę, a utworzą nazwę popularną obecnej pory:

Rabka, Nisko, Mikulińce, Mogiła.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. S., Warszawa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane w kolejnym porządku, utworzą nazwisko jednego z naszych ministrów.

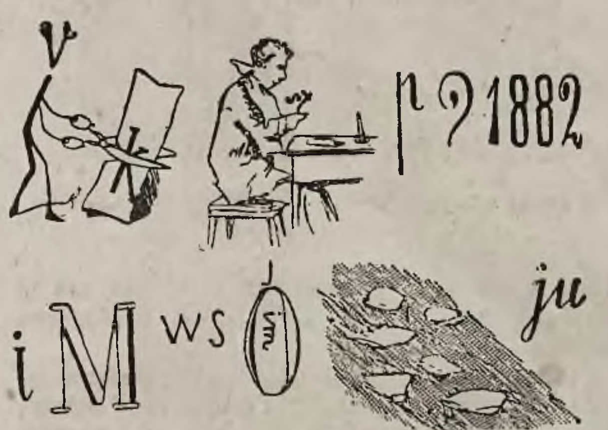
w o — —
— — a n
— - z a
f u — —

Szarada.

Ułożył Geograf z Pilzna.

Pierwsza-trzecia czwarta-pierwsza,
Nie jest wcale *trzecia-druga,*
I od wielu ona szersza,
I na setki mil jest długa.
A zaś *całe,*
Czarne małe.

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) W. Berenta „Próchno" (powieść), 2) Kalendarz familijny.

Rozwiązanie zagadek z Nru 30.

Logogryf: A, rum, g, dur, osa, Itó, asy, rok, Mekka, Brody, Kaika, broda, kowal, Pasek, Parkany, maligna.

Rebus: Herbatę sprowadzają do nas i lądem i morzem.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Z. Wójcik Rzeszów, B. Szypulska Wieliczka, A. Wrobel Tarnopol, J. Cześnikiewicz Kraków, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnow, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Krakow, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kęty, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, F. Gostyńska Kielce, W. Kulesza Warszawa, R. Wolwender Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) Z. Wójcik, Rzeszów (powieść); 2) K. Mańkowska, Warszawa (rycina).

Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Wydawcy i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.